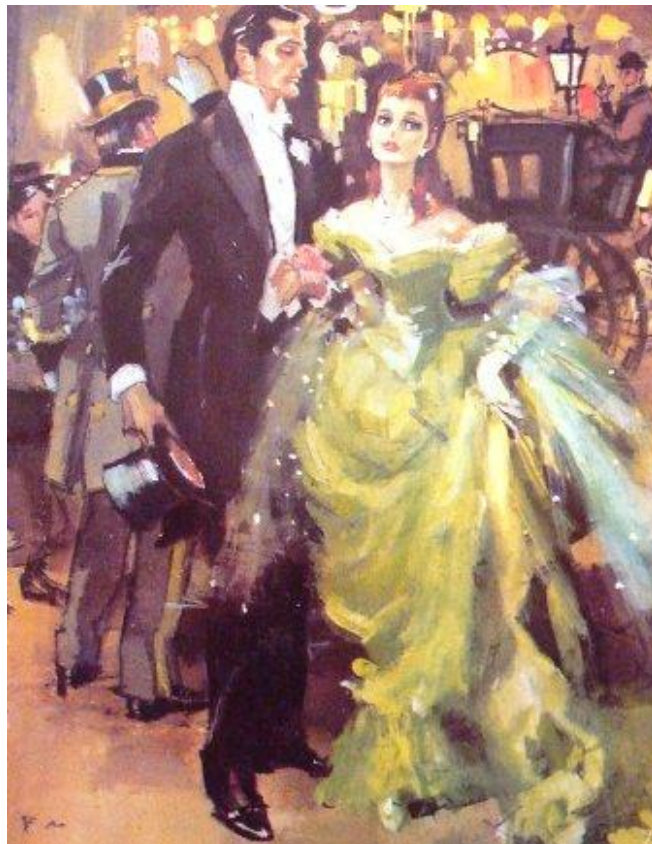


Barbara Cartland

Niezwykła misja

The Goddess and the Gaiety Girl



Od Autorki

Zawarte w powieści informacje o doktorze Listerze i jego pracach nad zwalczaniem zakażeń pooperacyjnych są prawdziwe. To samo dotyczy teatryku Rozmaitości.

Dzieje króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu stanowiły przez całe wieki przedmiot sporu uczonych. Jednak napisana w dziewiątym wieku „Historia Britonum” przedstawia dwanaście jego bitew stoczonych przeciwko Sasom. Natomiast w „Annales Cambriae”, kronice pochodzącej z lat 950 - 1000, zapisano, że w bitwie pod Cambran „padli Artur i Medrant”.

Alfred Tennyson unieśmiertelnił króla Artura w swoich wierszach. Pragnę wierzyć, opierając się na francuskich legendach krążących przez cały dwunasty wiek, że Artur nie umarł, lecz czeka, żeby powrócić na ziemię i nieść pomoc tym, którzy go wezwą, gdy światem zawładnie zło.

Może już niedługo nadejdzie czas, kiedy dobro zwycięży.

ROZDZIAŁ 1

1870

Czwarty księżę Tregaron umierał. Ogromny zamek tonął w ciszy, służba poruszała się na palcach i mówiła szeptem, co stanowi niewątpliwe preludium śmierci.

- Długo jakoś choruje - odezwał się jeden lokaj do drugiego, stojąc w ogromnym gotyckim holu w oczekiwaniu na nadjeżdżające powozy.

- To przez tych doktorów - odrzekł drugi. - Gdyby tak na biednego trafiło, od razu by się przekreślił. Ale z bogatym będą się cackać, żeby z niego wycisnąć co się tylko da.

Pierwszy z lokajów wybuchnął śmiechem, lecz wkrótce się powstrzymał widząc kamerdynera idącego w stronę frontowych drzwi. Musiał zapewne dostrzec powóz zmierzający w kierunku podjazdu, mijający właśnie starą dębową aleję. Służący zbiegli po schodach, aby otworzyć drzwiczki powozu, a dwaj inni zajęli ich miejsce w holu. Wszyscy byli ubrani w czerwono - złote liberie.

Kamerdyner przyglądał się z wysokości schodów, jak markiza Humber wysiada ze swojego powozu. Nie dziwiło go, że księżę umiera w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, zważywszy na burzliwe życie, jakie wiódł dotychczas. Markiza szła powoli i z godnością schodami w kierunku holu.

- Dzień dobry, Dawson!

- Witam, milady - odrzekł kamerdyner z ukłonem. - Bardzo smutny dzień mamy dzisiaj.

- Chciałabym jak najszybciej zobaczyć się z jego wysokością - rzekła markiza. - Nie musisz mnie odprowadzać, Dawson. Chyba posłano już po pana Justyna?

- Tak jest, milady. Specjalny posłaniec udał się do Francji wczoraj rano.

- Do Francji?!

Nie było to właściwe pytanie. Na ustach markizy pojawił się grymas dezaprobaty, gdy paradnymi schodami wspinała się na górę. W ogromnej komnacie na pierwszym piętrze, która stanowiła nieraz sypialnię królów, spoczywał z zamkniętymi oczami na łożu czwarty książę Tregaron, nie zwracając uwagi na modlitwy księdza. Po drugiej stronie łoża siedziała niezamężna siostra księcia, lady Alicja Garon. Nie była w stanie uklęknąć z powodu artretyzmu, a jednocześnie rozmyślała cynicznie, że ani panu Bogu, ani jej bratu nic by z jej poświęcenia nie przyszło.

W kąciu pokoju stało trzech lekarzy i coś do siebie szeptali. Zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby przedłużyć życie pacjenta, lecz kiedy wywiązało się u niego zapalenie płuc, wiedzieli, że nic nie może go uratować, już z pewnością nie ich umiejętności.

Drzwi się otworzyły i markiza wpłynęła do komnaty niczym statek pod pełnymi żaglami. Zmierzała prosto do łoża brata, więc kapelan podniósł się i zniknął w cieniu. Markiza nachyliła się i położyła dłoń na dłoni brata.

- Czy mnie słyszysz, Murdochu? - zapytała. Książę bardzo powoli otworzył oczy.

- Jestem przy tobie - rzekła. - Cieszę się, że zastałam cię jeszcze przy życiu!

Ledwo dostrzegalny uśmiech pojawił się na ustach księcia.

- Zawsze... starałaś się... być wszędzie... pierwsza, Muriel!

Markiza zamarła w bezruchu, jakby urażona tym stwierdzeniem. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, książę odezwał się, z trudem łapiąc oddech:

- Gdzie jest Justyn?

- Posłano po niego wczoraj - odezwała się markiza. - Szkoda, że nie zrobiono tego wcześniej.

Mówiąc to patrzyła na swoją siostrę, siedzącą po drugiej stronie łoża. Lady Alicja zamierzała właśnie odpowiedzieć, kiedy książe wyszeptał:

- On będzie... bardziej godny tytułu... niż ja...

Ostatnie jego słowa przeszły w charczenie. Doktorzy podbiegli do łoża, lecz gdy się nad nim pochyłili, chory już nie żył.

Słońce usiłowało przedrzeć się przez zasłony, osłaniające brudne okno. Siedzący na krześle mężczyzna spojrzał w stronę leżącej na sofie kobiety i zapytał:

- Bardzo dzisiaj gorąco. Czy chciałabyś, żebym otworzył okno?

- Nie - odrzekła kobieta. - Lecz ty możesz wyjść, żeby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

- Niczego mi nie trzeba - powiedział mężczyzna.

- To musi być dla ciebie straszne, Harry, tak tu ze mną przesiadywać. Jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Wyciągnęła rękę w jego stronę, a mężczyzna wstał, usiadł na brzegu jej posłania i ujął ją za rękę.

- Wiesz, że zawsze chcę być z tobą, Katie - powiedział. - Wciąż tylko proszę Boga, żeby mi wskazał, co mógłbym dla ciebie zrobić.

Kobieta westchnęła.

- Ja także pokładam w Bogu nadzieję, a jednocześnie wydaje mi się to okropne, że nie mogę iść, jak zwykle o tej porze, do teatru. Teraz wszyscy siedzą w garderobach i przymierzają kostiumy. Ciekawa jestem, Harry, kto teraz nosi moje?

Pytanie to było niczym okrzyk wydobywający się z głębi serca - ręka Harry'ego zacisnęła się na jej dłoni.

- Nikt - powiedział. - Hollingshead nie przyjął nikogo na twoje miejsce, już ci to przecież mówiłem.

Skłamał tak przekonywająco, że w jej oczach pojawił się błysk radości.

- Dziś się wszystkiego dowiemy, prawda? - zapytała Katie. - Doktor Medwin nam to obiecał.

- Tak, z pewnością - potwierdził Harry. Przypatrywał się, jak Katie z powrotem opadła na poduszki, a jej złocistorude włosy rozsypały się dokoła. Odnosiło się wrażenie, jakby jaśniały złościście w półmroku, jakby płonęły w nich ogniste iskierki.

- O czym myślisz, Harry? - zapytała.

- Myślę o tym, jak ładnie wyglądasz.

- Jakie to ma teraz znaczenie, kiedy jestem przykuta do łóżka i nie mogę tańczyć?

W jej głosie brzmiał smutek, więc Harry, żeby zmienić temat wziął do ręki gazetę i przeczytał:

- Książę Tregaron jest umierający.

- A niech go piekło pochłonie!

- Całkowicie się z tobą zgadzam - rzekł Harry - tylko, jak mniemam, trafi on do takiego piekła, gdzie usługujące diabły będą mu podawać szampana i kawior, gdy tylko tego zapragnie.

Chciał rozbawić Katie, lecz ona rzekła:

- To niesprawiedliwe, że on umiera otoczony wszelkimi możliwymi wygodami, podczas kiedy ja muszę tutaj leżeć i martwić się, co zrobisz, kiedy pod koniec tygodnia nie nadejdzie moja gaża.

- Mówiłem ci już, żebyś się o nic nie martwiła - powiedział. - Jakoś sobie poradzę.

- Ale jak? - zapytała. - Muszę wrócić do pracy, wiesz o tym doskonale.

- Wiem, wiem! - zgodził się Harry. - Lecz nie możesz niczego podejmować, zanim doktor Medwin nie postawi diagnozy.

Znów spojrzał na gazetę i czyniąc nowy wysiłek odwrócenia uwagi Katie odezwał się:

- Opowiedz mi coś o księciu. Nigdy cię nie zapytałem, co on ci właściwie zrobił.

- A jak myślisz? - wybuchnęła Katie. - Stary rozpustnik! Niedobrze mi się robi, kiedy o nim pomyślę!

- Musiałaś być bardzo młoda, kiedy go poznałaś? Przecież już cztery lata mija, odkąd jesteśmy razem.

- Poznałam go sześć lat temu, kiedy tylko przyjechałam do Londynu - odrzekła Katie. - Byłam w siódmym niebie, że zdobyłam rolę w music - hallu.

Wprawdzie na początku byłam tylko chórzystką, lecz dzięki moim włosom zdobyłam partię solową.

- Co to znaczy, dzięki włosom?

- To się stało na próbie - opowiadała Katie. - Tańczyłam wraz z innymi, wkładając w to całą swoją duszę, kiedy nagle szpilki powypadały mi z fryzury i włosy się rozsypały. - Na jej ustach pojawił się nikły uśmieszek, a potem mówiła dalej: - Byłam tym bardzo zawstydzona i usiłowałam tańczyć dalej. Kiedy taniec się skończył i próbowałam z powrotem upiąć włosy, podszedł do mnie reżyser i powiedział: „Ty, tam! Zostaw włosy jak są i spróbuj wykonać solo ostatnie takty”. - W jej głosie brzmiało rozmarzenie, kiedy mówiła: - Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo się starałam. Potem już każdego wieczora robiłam tę sztuczkę z włosami, bo publiczności bardzo się to podobało! - Przez moment Katie znalazła się znów w przeszłości, a ponieważ Harry nie odzywał się, mówiła dalej: - Wykonywałam ten taniec chyba przez trzy tygodnie, kiedy pewnego dnia dziewczęta powiedziały do mnie: „Jakaś gruba ryba jest dzisiaj w paradnej łoży”. Oczywiście podczas tańca zerkałam w kierunku łoży, lecz wygląd osoby, która ją zajmowała, bardzo mnie rozczarował.

- Spodziewam się, że to był właśnie książę - rzekł Harry.

- Przekonałam się o tym dopiero kiedy przesłał mi bilet wizytowy i zaprosił na kolację.

- Czy skorzystałaś z jego zaproszenia?

- Ma się rozumieć! Wszystkie dziewczęta strasznie mi zazdrościły wiedząc, że będę jadła kolację w towarzystwie prawdziwego księcia! - W jej głosie zabrzmiała nuta triumfu, kiedy dodała: - Nawet odtwórczyni głównej roli zapytała mnie: „Czemu on właściwie ciebie zaprosił?”, a inne niczym echo powtarzały to samo pytanie.

- Ja bym się wcale nie zdziwił - powiedział Harry. Katie uśmiechnęła się do niego i mówiła dalej:

- Księżę z bliska nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Wyglądał staro i było w nim coś niemiłego. Lecz kiedy znalazłam się w jego powozie, wiedziałam, że podążam w stronę świata, o którego istnieniu nie miałam nawet pojęcia.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedemnaście i nie wiedziałam niczego o ludziach takich jak on, bo i skąd miałabym wiedzieć.

- Rzeczywiście - zgodził się Harry.

- Jesteś dżentelmenem i wiesz jak zachowują się ludzie pokroju księcia. Dla mnie wszystko wtedy było nowością. I powóz zaprzężony w dwa konie, i lokaj z tyłu powozu, i właściciel restauracji zginający się w ukłonach, i najlepszy stół w lokalu, gałązka orchidei, którą dostałam w podarunku, wreszcie smak kawioru i szampana, których nigdy przedtem nie kosztowałam.

- Do tamtej chwili nie piłaś szampana? - zdziwił się Harry.

- Ale nie taki jak ten, którym poczęstował mnie księżę! A cóż to było za jedzenie! Miałam ochotę najeść się na cały tydzień!

- I co było dalej? - zapytał Harry.

- Tego wieczora nic się nie wydarzyło. Podobnie rzecz się miała przez kilka następnych tygodni - rzekła Katie. - Kiedy próbował mi wyjaśnić, o co mu chodzi, powiedziałam mu, że jestem porządną dziewczyną.

- I jak na to zareagował?

- Usiłował mnie przekonać mówiąc: „Uczynię cię szczęśliwą i otoczę takim bogactwem, o jakim nigdy nie marzyłaś”.

- Ale ty trzymałaś się twardo?

- Jeśli masz na myśli to, czy pozwoliłam mu się dotknąć, to owszem. Nie podobał mi się, był stary i odrażający, lecz lubiłam dostawać od niego kwiaty i inne prezenty.

- Czy ładne?

- Wówczas myślałam, że są coś warte, ale kiedy później usiłowałam je sprzedać, okazało się, że nie był zbyt hojny. Nie mogłam wtedy ocenić ich wartości, bo wcześniej nikt inny nie dawał mi prezentów.

- I co było dalej? - interesował się Harry.

- Książę spotykał się ze mną przynajmniej trzy razy w tygodniu. Za każdym razem stawał się bardziej agresywny i natrętny. W końcu zorientowałam się, że albo będę musiała spełnić jego życzenie, albo powiem mu, żeby się odczepił.

- I na co się zdecydowałaś?

- Łamałam sobie nad tym głowę, lecz decyzja była trudna. Inne dziewczęta zazdrościły mi tej znajomości. W tym czasie poznałam reputację, jaką książę się cieszył.

- Domyślałam się, co ci powiedziano.

- Wiem, co masz na myśli - rzekła Katie - lecz kiedy się jest młodym, człowiekowi się wydaje, że potrafi zapanować nad innymi. W istocie wcale się go nie bałam.

- Czy nie proponował ci, że cię zabierze w jakieś ustronnejsze miejsce?

- Oczywiście, że proponował! Mówił na przykład: „Gdybyś zjadła ze mną kolację sam na sam, czulibyśmy się bardziej swobodnie”. „Och, nie, wasza wysokość” - odpowiadałam. - „Bardzo mi na tym zależy, żeby wszyscy widzieli, z jak znakomitą osobą jem kolację”. Harry roześmiał się.

- Na szczęście we wszystkich lokalach, które odwiedzaliśmy, gabinety znajdowały się na górze - mówiła dalej Katie - a ja odmawiałam wejścia nawet na pierwszy stopień. Jego książęca mość był wściekły, ale co miał zrobić?

- I co się stało? - zapytał Harry.

- Wpadłam w pułapkę - rzekła Katie z westchnieniem. - Powinnam się domyślić, że wiecznie nie uda mi się trzymać go na odległość! - Przerwała na chwilę, a potem wyjaśniła: - Był sobotni wieczór i miałam za sobą cały tydzień pracy. Tego dnia w teatrze było również poranne przedstawienie. Byłam zmordowana, a książę częstował mnie szampanem. Nie byłam wprawdzie pijana, lecz nieco oszołomiona. Nagle do naszego stolika podszedł kelner i powiedział: „Lady Konstancja przesyła ukłony i byłaby wielce rada, gdyby jego książęca mość wraz ze swoją młodą towarzyszką weszli na górę, gdzie urządzi przyjęcie, na które zaprosiła również inne panie i panów z teatru”. Książę zwrócił się do mnie i powiedział: „To przyjęcie powinno być zabawne. Zresztą nie musimy zostać tam długo. Mogłoby jednak pomóc ci w karierze”.

- Była to bardzo obiecująca propozycja - opowiadała dalej Katie. - Zawsze chciałam poznać ludzi grających w innych teatrach. „Możemy tam pójść” - zgodziłam się. „Bądź tak dobry i powiedz lady Konstancji - zwrócił się książę do kelnera - że dziękujemy jej za zaproszenie i pojawimy się, gdy tylko skończymy kolację”. „Zaraz to uczynię, wasza wysokość”. - Kelner zniknął, a ja nawet przez chwilę nie miałam wątpliwości, że było to najzwyczajniejsze zaproszenie.

- Chcesz powiedzieć, że był to pretekst, jakim posłużył się książę, żeby cię zaciągnąć do prywatnych gabinetów? - zapytał Harry.

- Tak właśnie było - odrzekła Katie. - Dziesięć minut później szliśmy na górę prowadzeni przez kelnera. Słyszałam śmiechy i rozmowy w mijanych na korytarzu pokojach. Wreszcie kelner otworzył drzwi. - W tonie głosu Katie pojawiła się ostra nuta, gdy mówiła dalej: - Weszłam do słabo oświetlonego pokoju, w którym nie było nikogo. W swojej niewinności, a także oszołomiona trunkami pomyślałam, że to przedpokój wiodący do pomieszczenia, w którym odbywa się przyjęcie. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, jak książę zamyka drzwi na klucz, a potem wkłada go do kieszeni. Wiedziałam już, że zostałam oszukana!

- Czy nie mogłaś jakoś się bronić? - zapytał Harry.

- Zaczęłam krzyczeć, ale on uderzył mnie w twarz! - powiedziała Katie. - Im bardziej się wyrywałam, tym większą sprawiałam mu przyjemność. Był bardzo silny, a ja stchórzyłam. Próbowałam uciec, ale nadaremnie.

- Biedna Katie!

- Dowiedziałam się później, że połowa dziewcząt w teatrze przeszła przez coś podobnego. Nauczyło mnie to, że nie można nikomu ufać i że nie należy pić. Takiej rady udzielałabym wszystkim dziewczętom z prowincji, szukającym szczęścia w teatrze!

- Zawsze mi mówiono, że książę to świnią! - rzekł Harry.

- I co ci za to dał?

- Pięćdziesiąt funtów i skończyły się kwiaty i zaproszenia na kolację.

- Nie do wiary - zdziwił się Harry.

- Wiele osób mówiło mi później, że jedyna rzecz, na której mu zależało, to zdobycie młodej niewinnej dziewczyny. I tanio za tę przyjemność zapłacił! - Głos Katie zabrzmiał

twardo, - To on sprawił, że znienawidziłam wszystkich mężczyzn. Dopiero kiedy ciebie poznałam, zmieniłam zdanie. Kocham cię, Harry!

- Dobrze nam było razem - rzekł Harry. - A przed nami jeszcze wiele wspólnych lat, zobaczysz. Kiedy lekarz przyniesie ci dobre wieści, wrócisz na scenę i będziesz grywała same główne role.

- Tego właśnie pragnę - rzekła Katie. - Chciałabym, żeby moje nazwisko krzyczało dużymi literami z afisza!

- Tak będzie. Zapamiętaj sobie moje słowa! - powiedział Harry. - Za miesiąc będziesz z pewnością czuła się dobrze i będziesz mogła wystąpić w „Księżniczce Trebizondy”.

- Bardzo bym chciała! - zawołała Katie.

- I tak się stanie - zapewnił ją Harry.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi, oznajmiające przybycie lekarza.

Harry wyszedł na schody, kiedy doktor Medwin wszedł do pokoju Katie. Doktor był mężczyzną w średnim wieku, o lekko siwiejących włosach. Jego twarz zdradzała, że był przepracowany i źle się odżywił. Był nie tylko dobrym lekarzem, ale też doskonałym znawcą ludzkich charakterów. Choć wiedział, że Harry Carrington znajduje się na utrzymaniu kobiety, lubił go jednak i szanował.

Harry w ciągu całego swojego życia nie zhańbił się pracą, był jednak dżentelmenem i posiadał urok, który pociągał kobiety. Doktor Medwin mógł jednak być pewien, że nie opuści Katie w trudnym okresie jej życia, bo gdyby została sama ze swoim strachem, łatwo mogłaby zdecydować się na samobójstwo. W Tamizie stanowiącej północną granicę dzielnicy Lambeth, w której praktykował, skończyło życie wielu jego pacjentów, gdyż nie potrafili znieść prawdy o stanie własnego zdrowia.

Harry stał oparty o poręcz, gdy doktor Medwin opuszczając pokój Katie zamknął za sobą starannie drzwi.

- Jaki werdykt, doktorze? - zapytał.

- Niedobry!

- Tego właśnie się spodziewałem.

- Ja także, ale potrzebne mi było potwierdzenie. Badania wskazują niezbiecie, że nowotwór się rozwija.

- Czy może pan coś dla niej zrobić?

- Niestety, niewiele - rzekł z westchnieniem lekarz.

- To straszne! Katie nie ma jeszcze dwudziestu trzech lat i w dodatku jest taka piękna... Musi być dla niej jakiś ratunek!

- Jedyne, co mogę zrobić, to sprawić, żeby nie cierpiała. Bóle będą się jednak nasilać i tylko narkotyki sprawią, że nie będzie ich czuła.

- I to wszystko, co ma pan do zaoferowania? - zapytał Harry.

- Gdyby był pan bogaty, mógłbym udzielić panu innej rady - rzekł doktor. - Istnieje możliwość przeprowadzenia zabiegu chirurgicznego według rewolucyjnych metod doktora Josepha Listera.

- Chyba coś o nim czytałem.

- Napisał on artykuł, w którym dowodził, że stosując w chirurgii środki odkażające można uniknąć zakażeń pooperacyjnych. Powoływał się w nim na dokonania Francuza, niejakiego Ludwika Pasteura.

- Ale ta metoda nie dotyczy przypadku Katie King?

- Jeśli chodzi o pannę King - rzekł doktor - to jedyne, co mogę zrobić, to skierować ją do jednego z miejskich szpitali. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Szansę na przeżycie operacji w takim szpitalu ma podobno połowa pacjentów, ale moim zdaniem jest ich o wiele mniej.

- Słyszałem o tym - powiedział Harry. - Nie oddałbym tam nawet zwierzęcia.

- Ma pan rację - zgodził się doktor Medwin. Obydwaj mężczyźni zamilkli. Lekarz zaczął rozmyślać o zakażeniach, o tym, jak często rana ulega zaognieniu i puchnie. Potem wywiązuje się gangrena, pacjent dostaje gorączki i wkrótce umiera. Harry jakby odgadywał jego myśli, bo zapytał:

- Powiedział pan, że jest jakieś wyjście?

- Jest pewien chirurg pracujący według zasad Listera, prowadzący własną prywatną klinikę.

- Jak on się nazywa?

- Sheldon Curtis. To doskonały chirurg - a poza tym podczas i po operacji stosuje odkażający karbol. Mówiono mi, że u niego nie przeżywa operacji zaledwie pięć procent pacjentów.

Zapanowała cisza, a potem Harry zapytał:

- A ile on bierze?

- Łącznie z pobytem w klinice - około dwustu funtów.

Harry zaśmiał się.

- Nie mam nawet tylu szylingów.

- Jak już panu powiedziałem, jedyne co mogę zrobić, to sprawić, by panna King jak najmniej cierpiała.

- Czym w tym czasie będzie mogła się zająć?

- Czym tylko zechce, ale nie może się przemęczać, a już na pewno nie może tańczyć. Przykro mi, że musiałem to panu powiedzieć, Carrington, ale sądzę, że woli pan znać prawdę.

- Oczywiście.

- Nie są to wiadomości pocieszające - dodał lekarz. - Taką samą rozmowę muszę przeprowadzić jeszcze z jednym pacjentem, będącym w takiej samej sytuacji. Jego badania zostały wykonane w tym samym czasie, co badania panny King. Musiał pan pewnie o nim słyszeć, mieszka przy tej samej ulicy: to profesor Braintree.

- Tak, słyszałem o nim - powiedział Harry.

- To człowiek wybitny, niekwestionowany autorytet w zakresie trzynastowiecznej literatury, znany w intelektualnych kręgach, które, niestety, nie kupują jego książek.

Doktor Medwin wziął swoją czarną lekarską torbę, którą postawił na podłodze na czas rozmowy.

- To dziwne, lecz córka profesora ma włosy takiego samego koloru jak panna King. To bardzo osobliwy zbieg okoliczności, żebym znał dwie osoby o włosach tak niespotykanej barwy. Nigdy przedtem nie widziałem kobiety o takim kolorze włosów.

- To rzeczywiście dziwne - zgodził się Harry. - Zanim nie poznałem Katie, ja także nawet nie przypuszczałem, że taki kolor istnieje naprawdę, a nie tylko na obrazach starych mistrzów.

- To bardzo piękny kolor - rzekł lekarz z nutą entuzjazmu w głosie. - Szkoda, wielka szkoda, że nic nie możemy zrobić ani dla panny King, ani dla ojca panny Braintree.

Ruszył schodami na dół, a Harry podążył za nim.

- Powiedział pan, doktorze - odezwał się Harry - że gdyby profesor Braintree miał pieniądze, mógłby zostać operowany przez doktora Curtisa i jego życie byłoby uratowane, tak jak życie Katie.

- Istnieje taka możliwość, o ile oczywiście proces rakowy nie posunął się zbyt daleko - wyjaśnił lekarz. - Jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, to zarówno profesor jak i panna King mogą być uratowani, jeśli zostaną zoperowani natychmiast.

Doktor Medwin minął wąski i brudny hol i skierował się w stronę drzwi.

- Czy po tym, co panu powiedziałem, podejmie pan ryzyko oddania panny King do szpitala? - zwrócił się do Harry'ego.

- Zna pan zapewne odpowiedź na to pytanie - odrzekł Harry. - Gdybym wiedział, że ma choćby najmniejsze szanse,

zgodziłbym się, lecz słyszałem o zbyt wielu osobach, które zmarły w szpitalu po operacji. Jeśli już ma umierać, to niech umiera w domu.

- Spodziewałem się tego - rzekł lekarz. - Do widzenia, Carrington. Szkoda, że nie mogłem panu przynieść lepszych wieści. Wpadnę do chorej któregoś dnia. Gdyby jednak wystąpiły bóle, proszę mnie wezwać niezwłocznie.

- Dziękuję panu, doktorze.

Doktor Medwin zszedł na dół po połamanych stopniach i skierował się w stronę nieco lepszych domów niż ten, w którym mieszkała Katie. Harry wrócił z powrotem na piętro. Zatrzymał się przez chwilę przed drzwiami i zanim je otworzył, zmusił się do uśmiechu.

- I co ci powiedział doktor, bo mnie nic nie chciał powiedzieć? - Katie siedziała oparta na poduszkach i z opadającymi na ramiona rudymi włosami wyglądała niezwykle pięknie.

Harry wpatrywał się w nią i wprost nie mieściło mu się w głowie, że ma przed sobą osobę skazaną na śmierć.

- Doktor bardzo mnie podniósł na duchu - powiedział z uśmiechem. - Sprawa nie przedstawia się tak źle, jak przypuszczałaś. Odwiedzi cię znowu za kilka dni. Twierdzi, że do tego czasu będziesz czuła się lepiej.

- Czy rzeczywiście tak powiedział? - zapytała Katie. Harry usiadł na posłaniu i objął ją ramionami.

- Czy sądzisz, że mógłbym kłamać? - powiedział. - Wydobrejesz, kochanie, i to szybko. A teraz zjedzmy coś, bo oboje jesteśmy bardzo głodni.

- Och, Harry, kiedy wyzdrowieję, będę tak ciężko pracować, żebyśmy mogli żyć w dostatku i żebyś mógł kupić sobie nowy garnitur, którego tak bardzo potrzebujesz.

Nie zdołała nic więcej powiedzieć, ponieważ przeszkodził jej pocałunkiem. Czując, że omdlewa w jego objęciach, szepnął:

- Nie mogę cię męczyć, kochanie, przynajmniej nie dzisiaj. Pozwól, że tylko na ciebie popatrzę. Doktor przed chwilą mi powiedział, jak ładnie wyglądasz.

- Publiczność znów będzie mnie oklaskiwać, gdy pokażę się na scenie z rozpuszczonymi włosami - rzekła cichutko.

- Doktor powiedział, że twoje włosy mają wyjątkowy kolor - rzekł Harry jakby do siebie - a jednak jest dziewczyna, która ma takie same włosy jak ty.

- To niemożliwe! - zawołała Katie. - Pewnie je farbuje!

- Doktor twierdzi, że nie.

- Wydrapałabym jej oczy, gdyby się okazało, że jej włosy są piękniejsze od moich!

- Nie martw się, kochanie! To niemożliwe, żeby ktoś inny miał takie włosy jak ty.

- To samo mi mówił ten przeklęty książę! Nazywał mnie czarodziejką. Na liścikach dołączonych do kwiatów zawsze pisał: „Czarodziejce, której każdy włos jest tak pociągający!” - Kate zaśmiała się, a potem zapytała: - Czy wiesz, co on mi kiedyś powiedział?

- Co takiego? - zapytał Harry obojętnie.

- Powiedział: „Miałem trzy żony i przeżyłem je wszystkie, lecz gdyby któraś kobieta dała mi syna, podzieliłbym się z nią swoim majątkiem i uczyniłbym ją księżną”.

- Trzy żony! Ładna historia! Gdy się ktoś prowadzi tak jak on, to nic dziwnego, że nie zasługuje na posiadanie potomstwa! - zauważył Harry, a potem zapytał: - Czy zastanawiałaś się, co by było, gdybyś mu urodziła dziecko?

- Oczywiście, że się nad tym zastanawiałam - odrzekła Katie - lecz on zachowywał się tak brutalnie, że nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

- Jednak gdybyś mu urodziła syna, zostałąbyś księżną.

- Już ja tam wolę być z tobą, głuptasie! - zaśmiała się Katie i wyciągnęła do niego rękę. - Zasłużyłeś sobie na moje względy. - Ujęła jego dłoń w swoją. - Dziś jest nasz szczęśliwy dzień. Któż to może wiedzieć? Może ten stary diabeł zapisał mi coś w testamencie?

Harry zaśmiał się. Nagle jego twarz stężała.

- Co się stało? - zapytała.

- Mam pomysł - odpowiedział.

- Jaki?

- Powiem ci o tym później. Może nam on przynieść pomysłość, o której od dawna marzyliśmy.

- Och, Harry, powiedz mi!

- Nie teraz, muszę sobie wszystko obmyślić.

- Umieram z ciekawości!

Przez głowę Harry'ego przemknęła myśl, że jeśli jego pomysł okaże się niewykonalny, bardziej prawdopodobne, że umrze na raka.

- Przejdę się trochę - powiedział wstając. - Niedługo wrócę.

- Mówiłam, że dobrze by ci zrobiło wyjście na świeże powietrze - rzekła. - Ja tymczasem się zdrzemnę.

- To świetna myśl. - Harry nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Jesteś dla mnie taki dobry - powiedziała czule. - Nie wiem, co bym robiła bez ciebie. Ale wrócisz, na pewno wrócisz?

- Nie będę odpowiadał na takie głupie pytania - rzekł. - Kupię też po drodze coś do jedzenia.

- Za co? - zapytała Katie, a potem dodała: - A gdybyś tak zastawił mój płaszcz? Nie będę go teraz potrzebować, a w lombardzie dostałbyś za niego funta albo więcej. Harry zawahał się.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Na razie nie będzie ci potrzebny, bo robi się ciepło, a kiedy wrócisz do teatru, kupisz sobie nowy.

- Oczywiście - przytaknęła Katie. - Płaszcz wisi za zasłoną. Zanim wyjdiesz, czy mógłbyś mi podać chusteczkę do nosa? Są w jednej z górnych szuflad.

Harry podszedł do komody stojącej w kącie pokoju. Otworzył szufladę i przekonał się, że wypełniały ją wstążki, chusteczki, sztuczne kwiaty i szaliki. Podając Katie chusteczkę zapytał:

- Czy książę pisał do ciebie listy?

- Wysyłał bileciki, w których zapraszał mnie na kolację. Brzmiały one bardziej jak rozkaz niż jak zaproszenie. Nie przychodziło mu nawet do głowy, żeby taka dziewczyna jak ja mogła mu odmówić.

- Czy masz jeszcze te bileciki?

- Chyba tak. Niczego nie wyrzucam.

- Gdzie one są?

- W dolnej szufladzie, razem z programami i wycinkami z gazet. W jednej czy dwóch wspomniano o mnie.

- Czy jesteś pewna, że są to listy od księcia?

- Tak. Są tam karteczki, które dołączał do kwiatów i w których pisał: „Mojej Czarodziejce”. Kiedy się przekonałam, jaki on jest naprawdę, chciałam spalić te liściki.

- Ale tego nie zrobiłaś?

- Nie, byłam zbyt leniwa. Poza tym kiedy będę już sławna, napiszę autobiografię i dam jej tytuł: „Uwiedziona przez księcia"! Niezłe, co?

Harry wyjął płaszcz zza zasłony - miał tani futrzany kołnierzyk.

- Pa, kochanie! Wracaj szybko! - powiedziała.

- Załatwię wszystko najszybciej, jak się tylko da - rzekł. - A ty prześpij się trochę. To rozkaz, choć nie został wypowiedziany przez księcia!

Zamykając drzwi usłyszał jej śmiech.

- Laurencjo!

- Już idę, papo!

Laurencja Braintree wzięła kawę, którą przygotowała w kuchni, żeby ją zanieść na górę do sypialni ojca. Był to przyjemny pokój o dwóch oknach wychodzących na ulicę, bardzo wysoki i przestronny, zbyt duży jak na ich potrzeby, jednak nie stać ich było na przeprowadzkę do innego mieszkania.

- Zrobiłam ci kawę, papo.

- Upadły mi na podłogę papiery - odezwał się profesor Braintree. - Przykro mi, kochanie, że ciągnąłem cię z tego powodu na górę, lecz są mi bardzo potrzebne.

- Wolałabym, żebyś przestał pracować i nieco odpoczął.

Ze ściśniętym sercem pomyślała jednak, że nie ma to przecież większego znaczenia, czy będzie pracował, czy nie. Doktor Medwin powiedział do niej niedawno:

- Proszę mu tylko nie mówić prawdy. Niech wierzy, że wraca do zdrowia. W końcu i tak sam się wszystkiego domyśli.

- Czy będzie bardzo cierpiał? - zapytała Laurencja.

- Będę się starał zmniejszyć jego cierpienia - odrzekł lekarz - lecz zdaje sobie pani sprawę, że trzeba będzie mu dawać coraz większe dawki środków przeciwbólowych, aż w końcu otepnieje i przestanie panią poznawać.

Laurencja zbladła i z trudem powstrzymała się od płaczu.

- Niech pan robi, doktorze, co pan uważa za stosowne - rzekła. - Proszę mi tylko powiedzieć, czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby go ratować?

- Jest pewna szansa, gdyby poszedł do szpitala.

- Och, nie, tylko nie do szpitala! - zawołała Laurencja. - Słyszałam od sąsiadów straszliwe historie o szpitalu. Umieralność pacjentów jest tam ogromna!

- Całkowicie się z panią zgadzam - rzekł doktor Medwin. - Żywię wielki szacunek dla pani ojca i sądzę, że będzie lepiej dla niego, gdy umrze we własnym domu.

- Ja też tak uważam - wyszeptała Laurencja. - Czy nic już nie można poradzić?

Powoli, ostrożnie dobierając każde słowo, lekarz wyjaśnił jej - jak poprzednio Harry'emu - że jedyną szansą jest opłacenie operacji u doktora Sheldona Curtisa, który dzięki metodzie Listera chroni pacjentów przed zakażeniami pooperacyjnymi.

- Słyszałam już o tym doktorze Listerze.. - rzekła Laurencja. - Papa bardzo interesował się jego pracami, wykonywanymi w Edynburgu.

- To są rewolucyjne wprost odkrycia! - zawołał doktor Medwin. - Przerwał na chwilę i dodał: - Sądzę jednak, że nie ma szans, żeby zdobyła pani dwieście funtów potrzebne na operację u doktora Curtisa. Laurencja wykonała bezradny gest.

- Ta suma jest dla nas nieosiągalna - rzekła. - Większość krewnych papy już nie żyje, a pozostali są równie biedni jak i my.

Pomyślała przez chwilę, a potem mówiła dalej:

- Wie pan z pewnością, że to mieszkanie nie jest naszą własnością, wynajmujemy je tylko. Nie mamy też nic wartościowego do sprzedania.

- Tak też myślałem.

- Papa znajduje się dopiero w połowie pisania swojej najnowszej książki. Nawet gdyby ją ukończył, wątpię, czy wydawcy wypłaciliby mu z góry jakieś większe honorarium. O papie piszą w gazetach bardzo pochlebne opinie, lecz jego książki nie znajdują nabywców, bo są zbyt uczone. Poza tym niewiele osób chce czytać o średniowieczu. Nawet jego dzieło o królu Arturze, który tak bardzo mnie zafascynował, nie miało powodzenia.

- Ja także jestem miłośnikiem króla Artura, jeśli w ogóle mam czas o nim myśleć - powiedział doktor Medwin ze śmiechem.

Spojrzał na Laurencję i pomyślał, że jest bardzo ładna. Nie była to olśniewająca uroda Katie King, kojarząca się z teatrem, której niezbędnymi atrybutami były płomienne oczy, roześmiane usta i zadarty nosek.

Laurencja Braintree posiadała urodę innego rodzaju. Jej rysy odznaczały się klasyczną wprost doskonałością, wielkie oczy miały zielonkawy odcień, a twarz wyraz uduchowienia. Lekarz spostrzegł także, że jej włosy były niemal tak długie jak włosy Katie King. W końcu powiedział sobie, że jest mężczyzną zbyt zajęтым, żeby interesować się urodą młodych kobiet.

- Muszę już wracać do pracy, panno Braintree - powiedział. - Proszę mi wybaczyć, że przyniosłem złe wieści. Wolałbym pani oznajmić, że ojciec wkrótce wyzdrowieje.

- Papa nie może o niczym wiedzieć - wyszeptwała. - Powiem mu, że jest pan pewien, iż wkrótce stanie na nogi. Proszę nie wyprowadzać go z błędu, kiedy odwiedzi nas pan następnym razem.

- Jest pani nieodrodną córką swojego ojca - rzekł doktor Medwin. - Podziwiam panią tak jak podziwiam jego. Uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby nie cierpiał.

- Dziękuję panu, doktorze. - Jej głos się załamał, a w oczach stanęły łzy. Wnet je otarła i odprowadziła doktora do drzwi, po czym udała się do kuchni, żeby przygotować dla ojca kawę.

Kiedy podała ojcu upuszczone przez niego papiery, usiadła obok niego i przyjrzała mu się dokładnie. Nikt, pomyślała, nie ma tak dystyngowanie wyglądającego ojca jak ona. Miał siwe włosy, szesane z wysokiego czoła. Jego regularne rysy zdawały się należeć do innej epoki. Było dla niej oczywiste, że matka zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, a i on darzył ją takim samym uczuciem.

- Twoja matka była bardzo piękna - powtarzał setki razy, kiedy rozmawiali o zmarłej, którą obydwójce kochali. - Miała węgierskich przodków i stąd zapewne wzięły się jej piękne włosy, których kolor był podobny do twojego, tylko nieco ciemniejszy. Zawsze jej mówiłem, że stanowiłaby doskonałą modelkę dla Bouchera.

- Matka zawsze jawiła mi się jak księżniczka z bajki - rzekła Laurencja. - Kiedy wieczorami wychodziliście razem na kolację, wydawało mi się, że nie ma nikogo, kto by się za wami nie obejrzał.

Ojciec zaśmiał się cicho, a potem powiedział poważnie:

- Czy wiesz, ile dla mnie, człowieka bez majątku, mogącego liczyć wyłącznie na siebie, znaczyła jej zgoda na małżeństwo?

- Mama wspominała mi o tym - rzekła Laurencja. - Mówiła, że jedyną rzeczą w życiu, która naprawdę się liczy, jest miłość i że czuje się niczym milionerka, ponieważ ty ją kochasz.

Spostrzegła, że jej słowa sprawiły ojcu przyjemność.

- Dużo dziś pracowałem - powiedział - i czuję się zmęczony.

- Napij się kawy, papo, i odpocznij, a ja tymczasem wyjdę do ogródka.

- Nie wychodź tylko sama na ulicę - upominał ją profesor.

- Obiecałam ci to przecież, papo - rzekła.

- Powinnaś zawsze mieć kogoś przy sobie - wyszeptał profesor - lecz, niestety, nie możemy sobie pozwolić na służącą. Może kiedy ukończę tę książkę, przyniesie mi ona więcej pieniędzy niż poprzednie? Udało mi się dotrzeć do wielu ciekawych faktów z czasów króla Artura, o których dotychczas nie pisałem. O moich nowych odkryciach powinien koniecznie dowiedzieć się lord Tennyson.

- Lord Tennyson, o ile mi wiadomo, mieszka teraz na wyspie Wight - rzekła.

Nie chciała wyznać ojcu, jak bardzo czuła się urażona, że lord Tennyson przygotowując przed dwunastoma laty swoje „Królewskie sielanki” bez przerwy korzystał z konsultacji ojca, a potem, kiedy książka się ukazała, całkowicie o nim zapomniał. Ponieważ ojciec również zraził się do człowieka, którego talent podziwiał, nie rozmawiali nigdy o Alfredzie Tennysonie. Lecz teraz przyszło Laurencji na myśl, że mogłaby zwrócić się do niego o pomoc. Przecież „Szarża lekkiej brygady” przyniosła mu ogromny majątek. Wiedziała, że w tym roku ukazał się również „Święty Graal i inne wiersze”, lecz nie stać jej było na kupienie ojcu tej książki, więc zataiła przed nim ten fakt.

„Przypuszczam, że lord Tennyson zupełnie o papie zapomniał”, myślała z goryczą. Teraz patrząc na przystojną twarz ojca pomyślała, że nie powinna go martwić, przypominając zdrady przyjaciół.

- Kiedy już sobie odpoczniesz, papo, przyniosę ci kolację i przeczytam głośno to, co dzisiaj napisałeś. Jestem pewna, że każde zdanie będzie doskonałe.

- Zawsze mnie chwalisz, kochanie - rzekł profesor.

Odbierając od niego pustą filiżankę spostrzegła, że był bardzo zmęczony i że pisanie z każdym dniem sprawiało mu większą trudność.

- Czy nic cię nie boli, papo? - zapytała.

- Tylko troszeczkę, ale to nic - odrzekł. Laurencja nie powiedziała nic więcej. Zasunęła tylko zasłony, aby go nie raziło popołudniowe słońce.

Schodząc z tacą na dół usłyszała pukanie do frontowych drzwi. Ciekawa była, kto to może być. „Może myślała - nadszedł list od wydawcy, powiadamiający o sprzedaży większej liczby książek?”

Wiedziała jednak, że to tylko marzenie. Napisana przez ojca książka o królu Arturze, stanowiąca przekład walijskiego poematu, od roku nie znalazła żadnego nabywcy. Oznaczało to, że nie są nią zainteresowani ani czytelnicy, ani biblioteki.

Kiedy schodziła na dół, pukanie rozległo się znowu. Podeszła do drzwi zastanawiając się, któż to dobija się tak gwałtownie.

ROZDZIAŁ 2

Laurencja otworzyła drzwi i ku swojemu zdumieniu ujrzała mężczyznę, którego nigdy dotąd nie widziała. Przyjaciele ojca byli to starsi już panowie - ten, mimo że był dojrzałym mężczyzną, nie należał do tej kategorii. Ponieważ była bystrą obserwatorką, spostrzegła, że choć strój jego prezentował się na pozór elegancko, jednak nosił wyraźne ślady ubóstwa. Buty, choć wyglancowane, były popękane, makiety koszuli miały wystrzępione brzegi, krawat, szczególnie w miejscu zawiązania, był bardzo zniszczony.

Dostrzegła, że przybysz przygląda się jej z wielkim zdziwieniem. Nie była do tego przyzwyczajona. Ponieważ milczała, nieznajomy zapytał:

- Czy mam przyjemność z panną Braintree?

- Tak.

- Czy byłaby pani tak dobra i zgodziła się porozmawiać ze mną przez chwilę? Jestem przyjacielem doktora Medwina.

Laurencja uśmiechnęła się.

- Doktor Medwin jest również zaprzyjaźniony z moim ojcem.

- Wiem o tym i właśnie o pani ojcu chciałbym porozmawiać.

Laurencja otworzyła szerzej drzwi i Harry Carrington wszedł do sieni. Zawahała się przez chwilę, a potem rzekła:

- Ojciec teraz odpoczywa i nie chciałabym, żebyśmy przeszkodzili mu w drzemce. Wyjdźmy więc do ogródka.

- Będzie mi bardzo miło towarzyszyć pani - rzekł Harry.

Znów się do niego uśmiechnęła i Harry pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknej kobiety. Wprawdzie kolor włosów Laurencji był podobny do koloru włosów Katie, jednak jej twarz była zupełnie inna. Było w niej coś, co z trudem dałoby się wyrazić słowami, a czego u innych kobiet

nie dostrzegając. Idąc za nią do ogródka zastanawiał się, co to takiego.

„Katie też musiała tak wyglądać, kiedy przyjechała do Londynu” - pomyślał i uświadomił sobie, że tym czymś była niewinność.

„Ogródkiem” okazała się niewielka przestrzeń, odgradzona od ulicy murem. Rosła na niej niewielka akacja i kilka rachitycznych krzaczków. Stała tam drewniana ławeczka, na której usiadła Laurencja i gdy słońce opromieniło jej głowę, ten skrawek zieleni wypiękniał w jednej chwili.

Harry usiadł obok niej. Kiedy zdjął z głowy kapelusz i położył go na ławce, spostrzegła, że jest równie zniszczony jak jego buty. ,

Laurencja była niezmiernie ciekawa, co miał jej do powiedzenia ten człowiek. Sądziła, że jako przyjaciel doktora Medwina sam też należy do lekarskiego kręgu. Wyczuwając jej zainteresowanie, Harry odezwał się:

- Proszę mi wybaczyć, jeśli się to pani wyda niedelikatnością z mojej strony, że wyrażę moje głębokie współczucie z powodu choroby pani ojca.

Ujrzał błysk cierpienia w oczach Laurencji, gdy odezwała się cichym głosem:

- Dziękuję panu. Gdyby pan jednak rozmawiał z moim ojcem, proszę nie wspominać o jego chorobie. On nie ma pojęcia, że sprawa jest aż tak poważna.

- Znam dobrze metody doktora Medwina - odrzekł. - Do ostatniej chwili nie odbiera pacjentom nadziei.

- Myślę, że postępuje słusznie.

- Domyślam się, że doktor Medwin powiedział pani - mówił dalej Harry - że gdyby miała pani odpowiednie środki, istniałaby możliwość, by ojciec został zoperowany przez Sheldona Curtisa.

Dostrzegł smutek w jej oczach.

- Wspominał mi o tym, ale w naszej sytuacji to niemożliwe - odparła.

- To samo dotyczy mojej przyjaciółki, która także jest ciężko chora.

- Czy pańska przyjaciółka także... choruje na raka? - zapytała cicho.

- Doktor Medwin taką postawił diagnozę - odpowiedział.
- Wiem, że zarówno mnie jak i pani pozostawił do wyboru: albo szpital, albo zdobycie pieniędzy na przeprowadzenie operacji w klinice Curtisa.

- Tak było w istocie. Jednak nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłabym zdobyć tak ogromną sumę, więc nie pozostaje mi nic innego jak pielęgnować ojca i dbać o to, aby jak najmniej cierpiał.

Przy ostatnich słowach jej głos załamał się. Zaciśnęła dłoń, starając się opanować wzruszenie.

- Moja przyjaciółka znajduje się w takiej samej sytuacji jak ojciec pani. Nazywa się Katie King i jest aktorką, a właściwie tancerką.

- Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Katie ma zaledwie dwadzieścia trzy lata i nie chce umierać!

- Jakie to okrutne! Może kiedyś ktoś znajdzie sposób na tę straszną chorobę.

- Miejmy taką nadzieję - rzekł ponuro Harry. - Ale zanim to nastąpi, chciałbym uratować Katie, a pani chciałaby uratować swojego ojca. Mam pewien pomysł, który może być zrealizowany tylko dzięki pani pomocy.

Laurencja spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Zrobię wszystko, by uratować ojca.

- Wiedziałem, że pani tak powie - rzekł Harry. - Zadam więc pani jedno pytanie: czy umie pani grać?

- Czy umiem grać? Na scenie?
 - Nie, nie na scenie. Ale czy potrafi pani odegrać rolę innej osoby w taki sposób, żeby obserwujący panią byli przekonani, że jest pani w rzeczywistości tą osobą?
 - Niezupełnie pana rozumiem.
 - Czy wcielała się pani kiedykolwiek w jakąś inną osobę, na przykład w szkolnym teatrze lub gdzie indziej?
 - Niestety, nie. Ale odczytywałam przed studentami wykłady mojego ojca, kiedy zimową porą miał chore gardło.
 - Świetnie! - zawołał Harry. - Oznacza to, że nie ma pani tremy.
 - W istocie, choć nie było zbyt przyjemnie występować przed studentami, którzy bardzo krytycznie odnosili się do mojego sposobu wymawiania łacińskich i walijskich słów.
- Harry był nieco zdumiony jej odpowiedzią, lecz ciągnął dalej:
- Zatem należy przyjąć, panno Braintree, że potrafi pani odegrać rolę skrzywdzonej kobiety, jeśli będzie pani miała odpowiednią motywację?
 - Czy mógłby mi pan dokładniej wytłumaczyć, czego się pan po mnie spodziewa?
 - Chciałbym, żeby zdobyła pani pieniądze niezbędne dla uratowania życia pani ojca i życia Katie King. - Laurencja wstrzymała oddech, a on mówił dalej: - Siedem lat temu, kiedy Katie King miała szesnaście lat, ksiązę Tregaron poślubił ją, ponieważ spodziewał się, że da mu potomka, na którym bardzo mu zależało. - Spojrzał na Laurencję i przekonał się, że słucha go z głęboką uwagą. - Kiedy okazało się, że dać mu go nie może, ksiązę porzucił ją, a ponieważ ich ślub został zawarty w tajemnicy, wypłacał jej każdego roku pewną sumę, zobowiązując ją jednocześnie do zachowania tajemnicy dotyczącej ich związku. Katie King była wówczas młoda i głupia i zgodziła się na tego rodzaju warunek. Sam

książę okazał się człowiekiem nieprzyjemnym i niezwykle skąpym. Jednak Katie w swej szlachetności i prostoduszności nigdy nikomu nawet nie wspomniała o całej tej sprawie. Dopiero mnie przyznała się, że jest właściwie księżną Tregaron.

- W takim razie stać ją będzie na operację! - zawołała Laurencja.

- Wszystko to nie jest takie proste, jak się pani wydaje - rzekł Harry. - Księżę choruje od pewnego czasu, gazety piszą nawet, że jest umierający. Katie nie otrzymała ostatnio swoich pieniędzy i jest nader wątpliwe, czy je kiedykolwiek otrzyma.

- Ależ to niesprawiedliwe! - zawołała. - Powinna się zwrócić do adwokatów księcia!

Harry potrząsnął głową.

- Jak już pani wspominałem, Katie jest osobą niezwykle honorową. Dała przecież kiedyś księciu słowo, że nikomu nie wspomni o ich ślubie. Ponieważ brała od niego pieniądze przez kilka lat, nie chce go zdradzić nawet w tak trudnej dla siebie sytuacji.

- To bardzo szlachetne z jej strony - zauważyła Laurencja.

- Wiedziałem, że pani tak o niej pomyśli - rzekł Harry.

- A więc czego pan ode mnie oczekuje?

- Chcę, żeby pani pojechała do zamku Tregaron i poprosiła rodzinę księcia o pieniądze, które się Katie należą - powiedział.

- Ale czemu ona sama tego nie zrobi? A jeśli jest zbyt chora, to czemu pan jej nie zastąpi?

- Proszę panią o to, ponieważ pani i Katie macie włosy niemal tego samego koloru i jesteście do siebie bardzo podobne. Zależy mi na tym, żeby pani udawała, że jest pani w istocie księżną Tregaron!

Choć Harry wymawiał te słowa bardzo spokojnie, Laurencji wydawało się, jakby w jej pobliżu wybuchła bomba. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, w końcu wyszeptała:

- Więc pan chce, żebym... udawała, że... jestem żoną księcia?

- Kiedy pani tam dotrze, nie będzie go już wśród żywych - rzekł - więc nie grozi pani rozpoznanie.

- Nie mogę tego zrobić... nie mogę. Zapanowało milczenie.

- Może się mylę - powiedział Harry innym już głosem - lecz wydawało mi się, że kocha pani swojego ojca.

- Oczywiście, że go Kocham! Jest dla mnie jedyną bliską osobą na świecie!

- Przecież to jedyny sposób na uratowanie mu życia.

- Ale jakże mogłabym kłamać... to by było niewybaczalne... to niemożliwe!

Harry wziął do ręki kapelusz.

- Proszę mi wybaczyć, panno Braintree - powiedział - że zabrałem pani czas. Myślałem, że okaże się pani dość dzielna, żeby uratować życie dwóch osób. Przepraszam, że panią niepokoiłem.

Chciał odejść, lecz Laurencja zawołała:

- Nie! Proszę nie odchodzić! Proszę dać mi się zastanowić! To, co pan powiedział, bardzo mnie wzburzyło!

Z udanym wahaniem Harry usiadł z powrotem na swoim miejscu, lecz trzymał kapelusz na kolanach, jakby chciał go w każdej chwili założyć na głowę. Po krótkim milczeniu Laurencja odezwała się niepewnym głosem:

- W jaki sposób zdołam przekonać krewnych księcia, że jestem jego żoną?

- Zabierze pani ze sobą świadectwo ślubu panny King, a także list od księcia, w którym wspomina o małżeństwie. W

tym liście jest również mowa o tym, że księżę spodziewa się, że Katie urodzi mu syna.

- Ile lat ma teraz panna King?

- Jak już pani mówiłem, dwadzieścia trzy. Wygląda bardzo młodo, więc nie sprawi pani trudności, żeby wyglądać podobnie.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ma się rozumieć opowiem pani, w jakich teatrzykach występowała Katie, kiedy poznała księcia. Podam też nazwy restauracji, w których bywali, a także tytuły przedstawień, w których grywała. Nie muszę jednak dodawać, że najlepiej będzie, panno Braintree, jeśli będzie pani mówiła o sobie jak najmilej.

- To zrozumiałe.

- Oczekuję od pani jednej tylko rzeczy, a mianowicie, że pojedzie pani do zamku Tregaron i spróbuje zobaczyć się z najstarszą osobą spośród krewnych księcia. Przygotuję dla pani ich pełną listę. O ile wiem, jedną z sióstr księcia jest markiza Humber. Innych nazwisk nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. - Pomyślał chwilę, a potem mówił dalej: - Pokaże pani markizie dokumenty, które pani wręczę niebawem. Zapewne będzie przerażona i zaszokowana faktem, że księżę ukrywał przed rodziną taką tajemnicę.

- A co będzie, jeśli zechcą wyrzucić mnie za drzwi? - zapytała Laurencja.

- To mało prawdopodobne, jeśli im pani udowodni, że jest pani żoną księcia.

- A gdyby podarli świadectwo ślubu?

- Akt ślubu jest zapisany w księdze w kościele, w którym go udzielono - wyjaśnił Harry. - Nie wydaje mi się, żeby markiza mogła zachować się w ten sposób. Przypuszczam, panno Braintree, że zgodzi się zapłacić.

- Jak pan sądzi, o jaką sumę powinnam poprosić?

- O bardzo dużą - odrzekł Harry. - Nie będzie pani prosiła o wsparcie, jakiego rocznie udzielał książę swojej żonie, lecz o sumę, w zamian za którą obieca im pani, że zniknie na zawsze i że już więcej o pani nie usłyszą.

- Ale potrzebujemy przecież tylko pieniędzy na opłacenie dwóch operacji - wtrąciła Laurencja.

- Katie potrzebuje dużo więcej pieniędzy - rzekł Harry. - Pani nawet nie zdaje sobie sprawy, w jak ciężkiej sytuacji się znalazła. Poślubiając księcia w bardzo młodym wieku, nie zdawała sobie sprawy, że nie będzie mogła poślubić nikogo innego. - Harry zawiesił głos i dodał konfidencjonalnym szeptem: - Nie muszę pani tego tłumaczyć, że ze względu na swoją nieprzeciętną urodę spotkała się z wieloma propozycjami małżeństwa od zakochanych w niej mężczyzn. Musiała jednak za każdym razem odmawiać i nie mogła nawet wytłumaczyć tym ludziom, czemu nie chce ich uszczęśliwić.

- To istotnie bardzo niemiła sytuacja - wyszeptała Laurencja.

- I teraz, kiedy otwiera się przed nią błyskotliwa kariera, los obszedł się z nią tak okrutnie, że gdyby ją pani ujrzała, nie umiałaby pani powstrzymać się od płaczu.

W głosie Harry'ego było tyle uczucia, że wzruszenie udzieliło się Laurencji.

- Och, jakże mi przykro! - powiedziała.

- Katie też była bardzo przejęta, kiedy się dowiedziała, że ojciec pani jest śmiertelnie chory. Lecz przecież możemy spróbować uratować ich oboje!

- Czy jest pan pewien, że nie zawiodę pańskich oczekiwań? - zapytała.

- Kiedy panią poznałem, panno Braintree, przekonałem się, że jest pani nie tylko piękna, ale także inteligentna, jak pani ojciec.

- Choć to zapewne przesada, jednak sprawił mi pan tym stwierdzeniem wielką przyjemność - rzekła. - Zadanie, które pan przede mną postawił, przeraża mnie. Co powiem papie, kiedy będę musiała wyjechać?

- Pomyślałem i o tym - wyjaśnił Harry. - Postanowiłem najpierw pożyczyć pieniądze na opłacenie operacji dla ojca pani i dla Katie. Doktor Medwin zapewne pani mówił, że im szybciej zabieg zostanie wykonany, tym większe są szanse uratowania ich życia.

- Sądzi pan - rzekła - że papa mógłby udać się do kliniki doktora Curtisa natychmiast?

- Oczywiście, gdy tylko uda mi się zdobyć pieniądze - odrzekł Harry. - Jeśli zgodzi się pani na moją propozycję, przyprowadzę do pani pewnego jegomościa. Nie jest on zbyt miły, lecz za to jest bogaty i udzieli nam pożyczki - jeśli oczywiście zapłacimy mu za to.

- Rozumiem - przytaknęła Laurencja. Spojrzała na niego, a potem zauważyła bystro: - Sądzę, panie Carrington, że ma pan na myśli lichwiarza... człowieka pożyczającego pieniądze na procent.

- Nie myliłem się mówiąc, że jest pani inteligentna, panno Braintree.

- Papa zawsze ostrzegał mnie przed tymi niebezpiecznymi ludźmi, wyłudzającymi bardzo wysokie procenty od pożyczanych sum.

- Nie mamy jednak innego wyjścia jak zapłacić mu, ile tylko będzie sobie życzył - powiedział Harry poważnie. - Jeśli operacje się udadzą, cena nie odgrywa roli.

- Ma pan rację - zgodziła się Laurencja. - Jakiej sumy pańskim zdaniem powinnam zażądać od krewnych księcia?

- Pięciu tysięcy funtów!

Laurencja wstrzymała oddech ze zdumienia.

- Pięć tysięcy funtów... - wybąkała. - To niemożliwe, żebym ośmieliła się poprosić o tyle.

Harry uśmiechnął się.

- Książę Tregaron wydaje rocznie dwukrotnie więcej na utrzymanie swoich wyścigowych koni. To człowiek niezwykle bogaty. Posiada liczne majątki ziemskie, domy, dzieła sztuki. Jestem przekonany, że rodzina księcia chętnie zapłaci, żeby tylko uniknąć skandalu i żeby ludzie nie dowiedzieli się, że książę poślubił chórzystkę. - W głosie Harry'ego pojawiła się twarda nuta, kiedy dodał: - Czy wie pani, jaki tytuł przysługiwałby Katie po śmierci księcia, gdyby jej małżeństwo zostało uznane?

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę.

- Ośmielam się pani zasugerować - mówił dalej Harry - że gdy już zwrócimy pożyczone pieniądze, podzielimy resztę na trzy części i jedną z nich weźmie pani.

- Czy jest pan pewien, że panna King nie będzie miała nic przeciwko temu? - zapytała Laurencja.

- Myślę, że Katie będzie pani niezmiernie wdzięczna za uratowanie życia. A kiedy już wróci z powrotem na scenę, nic nie będzie dla niej ważniejsze od tańca. Niech pani pomyśli też o swoim ojcu, panno Braintree. Sądzę, że po operacji przez dłuższy czas nie będzie jeszcze zdolny do pracy.

- Dziękuję panu za cenne rady - rzekła Laurencja. - Proszę mi pomóc, żebym nie pogubiła się w tym wszystkim.

Harry roześmiał się.

- Obiecuję, że przygotuję dla pani cały dokładny scenariusz na piśmie. Przećwiczymy go razem. Będzie pani mogła pytać mnie o wszystko, co tylko będzie dla pani niejasne. Ale najważniejsze, żeby pani nabrała pewności siebie. To bardzo ważne dla każdej aktorki, niezależnie od roli, którą odgrywa.

- Zatem spróbuję - Laurencja uśmiechnęła się pokornie - lecz jestem z natury bardzo nerwowa i zapewne popełnię wiele błędów.

- Nie więcej niż Katie w podobnej sytuacji. Musi pani liczyć się z tym, że pani wykształcenie i pochodzenie są zupełnie inne niż jej. - Widząc pytające spojrzenie Laurencji dodał: - Opowiem pani o niej wszystko, o jej staraniach dostania się za wszelką cenę do teatru, lecz teraz muszę koniecznie pożyczyć pieniądze i wręczyć je doktorowi Medwinowi, aby załatwił miejsce w klinice dla pani ojca i dla Katie.

- To prawda, tylko to się teraz liczy - rzekła Laurencja. - Papa niknie w oczach każdego dnia...

- To samo dzieje się z Katie - potwierdził Harry. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Niech się pani nie martwi, panno Braintree - powiedział. - Jestem przekonany, że doskonale wywiąże się pani ze swojej roli, jeśli nie będzie pani myślała o sobie, lecz o losie bliskich nam obojgu osób.

- Chyba ma pan rację - rzekła z prostotą. Gdy jednak podała mu swoją rękę, Harry poczuł, że dłoń ta drży.

Kolacja w pałacu hrabiego de Roques przy Polach Elizejskich była wyśmienita, a rozmowa błyskotliwa i zajmująca. Justyn Garon już dawno nie bawił się tak dobrze. Kochał francuski dowcip, doceniał żywość francuskiej konwersacji, porównując je z napuszonymi i ciężkimi angielskimi rozmowami podczas proszonych przyjęć.

Była jeszcze inna przyczyna jego zadowolenia. Otóż hrabina de Roques dała mu niedwuznacznie do zrozumienia, że przygotowała dla niego inny rodzaj rozrywki niż konwersacja przy męzowskim stole. Była to dama niezwykle atrakcyjna, obdarzona wrodzoną Francuzom radością życia. Justyn Garon miał okazję przekonać się podczas dwóch

spotkań, które odbyli, że jest skłonna obdarzyć go względami zupełnie wyjątkowymi.

Choć był przyjacielem jej męża, nie odczuwał zakłopotania z tego powodu, gdyż wiedział, że hrabia nie ma nic przeciwko temu, żeby został kochankiem jego żony. Cały Paryż doskonale wiedział, że hrabia poświęcał wiele czasu i pieniędzy czarującej pani Mustard, czołowej postaci z półświatka, znanej w Europie ze swoich ekstrawagancji.

Wysokie sfery Drugiego Cesarstwa wcale się nie kryły ze swoimi powiązaniem z półświatkiem. Cesarz nie robił tajemnicy ze swoich miłosnych podbojów, a jego kuzyn, książę Napoleon, paradował publicznie ze swoją kochanką.

Pani Mustard zawdzięczała swój ogromny majątek przede wszystkim romansowi z królem Holandii. Jednak jego królewska mość wracał czasem do kraju, żeby trochę porządzić, a w tym czasie miejsce u jej boku zajmował hrabia de Roques, zasilając jej i tak ogromny majątek - kupując konie, powozy, biżuterię. Tym sposobem pani Mustard stała się najbogatszą damą z półświatka.

Justyn Garon siedział po prawej stronie hrabiny. W ogólnym rozgwarze głosów rozprawiających o polityce tylko on usłyszał jej zapytanie:

- Czy zechce pan jutro zjeść ze mną kolację?

- Czy moje towarzystwo nie znudziło się pani jeszcze? - odpowiedział pytaniem.

Znał jednak odpowiedź, zanim jeszcze je zadał. W jego oczach zapłonęły iskierki rozbawienia, a na jego ustach igrał uśmiech. Choć hrabina była kobietą niezwykle pociągającą, wolał, jak każdy Anglik, sam polować niż być przedmiotem czyichś zabiegów.

- Jacques jutro gdzieś się wybiera - rzekła hrabina - więc pomyślałam, że moglibyśmy spotkać się sam na sam.

Z wyrazu jej oczu domyślił się, o jaki rodzaj spotkania jej chodzi. Zastanawiał się właśnie nad odpowiedzią, kiedy hrabia zwrócił się do niego, pytając, co sądzi o sprawie, która podzieliła biesiadników, i przerwał poufną konwersację.

Tego samego wieczoru, tylko nieco później, hrabia zwrócił się do przyjaciela:

- Chciałbym ci coś pokazać, Justynie. Coś, co zawsze podziwiałeś.

Przez chwilę Justyn Garon zastanawiał się, o co hrabiemu chodzi. Gdy jednak skierowali się w stronę jednej z komnat, która nie była używana tego wieczoru, domyślił się, że hrabia prowadzi go do obrazu, który upodobał sobie najbardziej w całej kolekcji pałacu de Roques. Nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby przyjeżdżając do Paryża nie zapragnął obejrzeć tego malowidła.

I nie omylił się. Kiedy weszli do pustego salonu, oświetlonego lampami gazowymi, ujrzał swój ulubiony obraz Franciszka Bouchera, noszący tytuł „Kąpiel Diany”.

Obraz ten za każdym razem robił na Justynie wielkie wrażenie. Bogini Diana o klasycznym profilu i nagim ciele o doskonałych kształtach siedziała na tle błękitnych draperii, ulubionego koloru Bouchera. Barwa ta pięknie współgrała z kolorytem jej skóry, a w szczególności z miedzianozłotym odcieniem włosów.

Całe malowidło było doskonałe w każdym szczególe, stanowiło uosobienie idealnego piękna. Nic więc dziwnego, że Justyn Garon odnosił wrażenie, jakby Diana wyciągała do niego rękę i ofiarowywała mu coś bardziej osobistego, dar, który zapadł mu głęboko w serce. Kiedy już napatrzył się na obraz do woli, zapytał:

- Powiedziałaś, o ile się nie mylę, że już go więcej nie zobaczę?

- Sprzedałem go - odrzekł hrabia.

- Jak mogłeś to zrobić?!

- Muzeum w Luwrze zaproponowało mi korzystną cenę, a mnie są bardzo potrzebne pieniądze.

Przez moment Justyn Garon był gotów oświadczyć przyjacielowi, że jest durniem. Jak można sprzedawać rzecz tak bezcenną tylko dlatego, żeby dogodzić zachciankom kobiety, która wyciąganie pieniędzy od kochanka traktuje jako hołd składany jej osobie.

Miał dziwne wrażenie, że „Diana” Bouchera nie powinna być wystawiana na sprzedaż, że mogła jedynie stanowić dar. Jednak doszedł do wniosku, że przyjaciel nie zrozumiałby jego rozterek.

Stali więc obydwoj przed nią w milczeniu, jakby się znajdowali w świątyni - wpatrywali się w jej twarz, przyglądali się diademowi nad jej czołem, kształtom jej ciała, jeszcze nie w pełni dojrzałego.

- Będzie mi jej brakować - powiedział hrabia.

- Mnie również - odrzekł Justyn Garon. Wydawało mu się, że to już nie będzie to samo, oglądać ją w muzeum. Jej uroda wymagała przytulnej domowej atmosfery, uwydatniającej jej delikatność i kobiecość.

Potem pomyślał, że to z jego strony nierozsądne traktować Dianę tak, jakby była żywą istotą, a nie mityczną postacią, namalowaną przez utalentowanego artystę, którego wizja kobiecego piękna nie miała sobie równej. Wychodząc z salonu pomyślał, że nie może spotkać się w tym domu z hrabiną na czułym sam na sam, jeśli w sąsiednim pokoju znajduje się kobieta, ucieleśniająca jego miłosne marzenia. Nie wiedział tylko, jak jej to wytłumaczyć.

Kiedy weszli do holu i zmierzali w stronę salonu, żeby dołączyć do innych gości, do Justyna Garona podszedł służący.

- Najmocniej przepraszam, ale ktoś oczekuje na pana w przedpokoju.

Służący otworzył drzwi. Justyn Garon rozpoznał oczekującego na niego mężczyznę i domyślił się, z czym do niego przyjechał.

Przygotowując się do długiej podróży, Laurencja była bardzo przestraszona. Jednocześnie nie posiadała się z radości, że wczoraj po południu ojciec został przyjęty do kliniki doktora Curtisa. Przydzielono mu oddzielny pokój i pielęgniarkę, która miała go doglądać. Podczas spotkania z doktorem Curtisem Laurencja przekonała się, że jest on człowiekiem, któremu można zaufać.

- Proszę się nie martwić, panno Braintree - powiedział do niej, kiedy znalazła się w jego prywatnym biurze. - Doktor Medwin wiele mi opowiadał o pani ojcu. Nie ulega wątpliwości, że za trzy lub cztery tygodnie będę mógł odesłać go do domu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przeżyje jeszcze w zdrowiu dwadzieścia lub nawet trzydzieści lat i napisze wiele wspaniałych dzieł.

- Pan słyszał o moim ojcu? - zapytała Laurencja.

- Nie będę twierdził, że czytałem jego książki - oświadczył doktor Curtis - ale wiem, że cieszy się wielką sławą wśród badaczy historii średniowiecznej.

- Proszę to koniecznie powiedzieć papie - poprosiła Laurencja. - Często się martwi, że jego prace są ignorowane.

- To wprost niesłychane - powiedział chirurg. - Zrobię wszystko, żeby przekonać go o doniosłości jego pracy i sławie, jaką się cieszy.

Lekarz chciał się już pożegnać, gdy Laurencja rzekła:

- Chciałabym pana o coś prosić. Muszę wyjechać na kilka dni lub trochę dłużej. Czy mógłby pan obmyślić dla mnie jakieś usprawiedliwienie, żeby się papa nie niepokoił, nie widząc mnie?

- Ależ oczywiście - oświadczył doktor Curtis. - Nie sprawi mi to żadnej trudności. Powiem mu, że się pani przeziębila, a ja nie pozwalam, żeby moi pacjenci kontaktowali się z osobami chorymi.

- Dziękuję panu bardzo - rzekła Laurencja. - Wrócę najszybciej jak to tylko możliwe.

- Proszę się o nic nie martwić, panno Braintree. Proszę mi tylko zaufać, a ojciec pani będzie żył.

- Ufam panu - odpowiedziała. Uśmiechnęła się nieśmiało do doktora, a on pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział równie pięknej dziewczyny o tak niezwykle ujmującym sposobie bycia. Nie lubił krewnych, którzy swoim strachem i płaczem odbierali odwagę jego pacjentom.

Przed wyjściem z kliniki Laurencja zapytała Harry'ego Carringtona, czy mogłaby zobaczyć się z Katie King.

- Myślę, że nie - powiedział. - Muszę się pani przyznać, że nie powiedziałem dotychczas Katie, że pani się wcieli w jej osobę i spróbuje zdobyć potrzebne pieniądze. Myślę, że to mogłoby sprawić jej przykrość.

- Rozumiem pańskie intencje - rzekła. - Może po operacji będę miała okazję spotkać się z panną King i powiedzieć jej o trudnościach, jakie z pewnością napotkam, podjąwszy się tej misji.

Harry nie myślał wspominać Laurencji, że Katie nie życzyła sobie jej wizyty.

- Dlaczego? - zdziwił się Harry, kiedy mu to oznajmiła.

- Nie zadawaj głupich pytań, Harry - rzekła. - Mówiłeś mi przecież, że to dama. Jeśli będzie się starała odgrywać zwyczajną dziewczynę, narobi nam obojgu kłopotu. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Jesteś bardzo mądrą dziewczyną, Katie - powiedział całując ją w koniuszek nosa.

To Katie pomogła mu napisać list, w którym księżę daje jakoby do zrozumienia, jak bardzo pragnie mieć syna i co obiecuje w zamian kobiecie, która go nim obdarzy.

- Nie, on wcale tak nie mówił - powtarzała Katie dziesiątki razy. - Kiedy mu na czymś zależało, potrafił być słodki jak miód, ale w rzeczywistości był twardy jak kamień. Nie zapominaj o tym!

- List musi brzmieć przekonująco - oświadczył Harry. - Jego odręczne pismo też musi być bez zarzutu. Całe szczęście, że przechowałeś te jego bileciki!

- Mam nadzieję, że Bodger nas nie zawiedzie.

- Ma opinię doskonałego fałszerza - odrzekł Harry. - Myślę, że jego świadectwo ślubu będzie jak należy.

- Czy postarałeś się, żeby zostało wpisane do kościelnej księgi?

- Ma się rozumieć! - odpowiedział Harry. - Ciekaw jestem, czy się domyślisz, jakie miejsce wybrałem dla książęcego ślubu?

- Nie mam pojęcia.

- Katedrę w Southwark.

Katie zaśmiała się. - Trudno o lepsze miejsce!

- Tak też sobie pomyślałem, a poza tym tamtejszy biskup zmarł przed trzema laty, więc nie sposób teraz udowodnić, czy rzeczywiście udzielił komuś cichego ślubu, czy nie!

- Jakim cudem udało ci się dotrzeć do ksiąg kościelnych?

- Bodger włamał się do zakrystii, znalazł rejestr, wpisał nazwiska - i już. Kto ośmieliłby się to zakwestionować?

- Pewnie, że nikt - rzekła Katie.

Choć Katie była bardzo krytyczna, jednak list napisany rzekomo przez księcia był bardzo przekonujący, a jego podpis skopiowany z bilecików był niemal identyczny.

- Te dokumenty skłonią zapewne Izaaka Levy'ego do pożyczania nam pieniędzy - rzekł Harry.

- Myślę, że on wiele ryzykuje - zauważyła Katie.

- Już on się postara odzyskać swoje pieniądze - odpowiedział Harry.

- Kiedy wrócę do teatru - zawołała Katie - z pewnością doczekam czasów, kiedy moje nazwisko będzie wypisane nad wejściem błyszczącymi literami.

Z początku nie uwierzyła, kiedy Harry wyznał jej, że nie przeżyje bez operacji. Potem wyjaśnił, że dzięki Laurencji Braintree wydobędą od rodziny księcia pieniądze, które mogą uratować jej życie.

- Naprawdę uwierzyła w to, że książę się ze mną ożenił? - zapytała, a potem zaczęła się śmiać: - Czy ty sobie wyobrażasz kogoś takiego jak on żeniącego się z baletniczką, wykonującą trzyminutowe solo?

- Któż to może wiedzieć, co by się stało, gdybyś mu urodziła syna - odparł.

- Pomyśl lepiej o tym, co by to było, gdyby tak nam się to przydarzyło!

- Boże broń! - wykrzyknął Harry. - Już dla nas dwojga nie starcza pieniędzy. Musiałbym siedzieć w domu przy dziecku, podczas gdy ty fikałabyś nogami w teatrze.

Obydwoje zaśmiali się, a potem zabrali się do sporządzania spisu spraw, które Laurencja powinna wiedzieć, jeśli miała podawać się za tancerkę z wodewilu.

- Nie musimy być zbyt drobiazgowi - rzekła Katie. - Nikt z rodziny Garonów, a już szczególnie markiza, nie ma najmniejszego pojęcia o życiu teatralnym.

- Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek znalazła się na zapleczu sceny - zgodził się Harry.

- Jednak dziewczyna musi orientować się, o czym będzie mówić.

Harry był przekonany, że ma rację. Spisał więc własnoręcznie dla Laurencji wszystko, co jego zdaniem

powinna wiedzieć, lecz wręczając jej te notatki zaklinał ją na wszystkie świętości, żeby zniszczyła papier, gdy tylko nauczy się wszystkiego na pamięć.

- Niech się pani nie stara kłamać - rzekł. - I proszę pamiętać, że po pierwszym szoku, jakiego doznają, kiedy się dowiedzą, kim pani jest, będą się starali sprawdzić, ile pani wie o księciu i oczywiście o jego rodzinie.

- Czemu pan sądzi, że będą się tym interesować? - zapytała.

- Ponieważ będą chcieli się upewnić, że rzeczywiście ożenił się z panią. Żaden mężczyzna nie żeni się, zanim nie opowie przyszłej żonie o swojej rodzinie.

- Rozumiem - przytaknęła Laurencja.

Tak bardzo jej zależało, żeby ojciec znalazł się w prywatnej klinice i został operowany, że o sobie nie myślała wcale. To Harry podsunął jej, by powiedziała ojcu, że wielbiciele jego talentu - powiadomieni o jego chorobie przed doktora Medwina - złożyli się anonimowo na operację. Kiedy Harry powtórzył lekarzowi tę samą historyjkę w odniesieniu do Katie, doktor Medwin był szczerze zdumiony.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał. - Najpierw panna Braintree, potem ty, Carrington, przychodźcie do mnie z pieniędzmi, o których zdobycie was nawet nie podejrzewałem.

- Nie musimy panu niczego tłumaczyć, doktorze - rzekł Harry. - Proszę tylko uwierzyć, że to, co mówi panna Braintree, jest prawdą.

- Jeśli kryje się za tym jakieś oszustwo, Carrington, które wciągnie ją w tarapaty, to zamorduję cię własnymi rękami! - oświadczył lekarz.

- Staram się tylko ratować życie jej ojcu - wyjaśnił Harry.

- Nie odpowiedział mi pan na moje pytanie - wybuchnął doktor Medwin. - Wiem, że coś się za tym kryje, choć nie wiem co.

- Pozostawiam pana z pańskimi wątpliwościami - rzekł Harry. - Jedno tylko jest pewne, że dwoje z pańskich pacjentów uratuje życie, jeśli wykorzysta pan swoje znajomości z doktorem Curtisem i załatwi dla nich operację możliwie najszybciej.

- Wciąż nie mogę pojąć, skąd wzięliście te pieniądze - wyszeptał lekarz.

- Być może pewnego dnia opowiem panu o tym - odrzekł Harry.

- Teraz niech pan uważa je za mannę, która spadła z nieba.

Zupełnie nieoczekiwanie dla Carringtona doktor Medwin zaśmiał się.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, Carrington - rzekł - lecz te pieniądze uratują życie dwojga ludzi i to się liczy.

- Więc niech już pan skończy z tymi podejrzeniami, doktorze - powiedział Harry ze śmiechem.

Dopiero kiedy zostawiła ojca w klinice, Laurencja mogła pomyśleć o sobie.

- Przypomniałam sobie teraz o czymś - powiedziała do Harry'ego.

- O czym? - zapytał.

- Spakowałam się już do wyjazdu, ale zdaję sobie sprawę, że moje stroje nie pasują do takiego miejsca jak zamek Tregaron.

- Wygląda pani bardzo pięknie - powiedział Harry - a jeśli pani garderoba nie jest elegancka, niech pani pamięta, że książę nie był dla pani zbyt hojny, mimo że zachowywała pani jego tajemnicę, a w związku z chorobą nie przysłał pani ani grosza od sześciu miesięcy. - Zmrużył oczy i dodał: - Niech się dowiedzą, że pani głodowała i marzła, bo nie stać było pani na opał. To im dobrze zrobi, gdy się dowiedzą czegoś o

życiu. Zapewniam panią, że bogaci nie mają pojęcia, jak żyją biedni!

W jego głosie zabrzmiała gorycz. Zawsze zastanawiała się nad jego pochodzeniem, a nigdy nie miała odwagi, żeby o to zapytać. Było sprawą oczywistą, że pochodził z dobrej rodziny, bo był dobrze wychowany i wykształcony i musiał kiedyś prowadzić inne życie.

„Chciałabym, żeby papa go poznał i powiedział mi, co o nim sądzi”, pomyślała. Wiedziała jednak, że nie może dopuścić do spotkania profesora z Harrym Carringtonem, zanim cała sprawa nie zostanie doprowadzona do końca.

„Papa byłby zaszokowany, gdyby się dowiedział, że kłamie i usiłuję wyciągnąć pieniądze od księcia” - pomyślała.

Potem odmówiła krótką modlitwę, żeby Bóg jej przebaczył, gdyż wszystko to robi dla dobra ojca. Kochała go i pragnęła, żeby żył. Wszystko inne nie miało w tej chwili żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ 3

Służący wycofali się z wielkiej jadalni, pozostawiając markizę Humber wraz z bratankiem, obecnie piątym księciem Tregaron, siedzącym pośrodku komnaty, mogącej bez trudu pomieścić sto osób.

Jadalnia była zwieńczona gotyckim sklepieniem, wspartym na rzeźbionych kolumnach. Ustawione na stole świece odbijały się w złoconych zdobieniach, przedstawiających dzieje rodu Garon.

- Pewnie jesteś zmęczona, ciociu Muriel - rzekł książę, podczas gdy markiza sączyła kawę małymi łydkami.

- Odrobinę - wyznała markiza - i jeśli się nie obrazisz, położę się zaraz po kolacji. Ostatnie trzy dni były bardzo wyczerpujące. Tak wielu ludzi przewinęło się przez nasz dom.

Książę uśmiechnął się cynicznie.

- Zdumiała mnie wprost liczba krewnych, którzy postanowili oddać cześć zmarłemu stryjowi Murdochowi, podczas gdy za jego życia nie byli skłonni powiedzieć o nim jednego dobrego słowa.

- Mieli po temu powody - odezwała się markiza. - Zapewne powtórzono ci już jego ostatnie słowa, że będziesz bardziej godny książęcego tytułu niż on. Spodziewamy się tego po tobie, Justynie, i z pewnością nas nie zawiedziesz.

- Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym odziedziczyć tytuł - rzekł książę. - Stryj Murdoch miał przecież trzy żony i liczne kochanki, więc można było sądzić, że prędzej czy później któraś z nich urodzi mu syna lub wmówi w niego jakiegoś bękarta.

- Tego właśnie obawialiśmy się najbardziej - wyznała markiza.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że obawa ta była nader poważna.

- Nie pozostaje ci teraz, Justynie, nic innego do zrobienia, jak postarać się, żebyś miał dużą rodzinę. To właśnie było tradycją rodu Garonów przez setki lat. Zawsze mnie zastanawia, czemu mój brat nie doczekał się potomka.

Justyn dyplomatycznie nie odpowiedział, a po chwili rzekł:

- Zanim pomyślę o małżeństwie, muszę najpierw zająć się majątkiem, który wymaga nowych metod administrowania i nowych ludzi. Stryj Murdoch nie dbał o majątek i dopuszczał się wielu ekstrawagancji, a zatrudniani przezeń ludzie po prostu kradli.

- Jestem głęboko przekonana, że okażesz się świetnym organizatorem - rzekła markiza. - Chciałabym ci podpowiedzieć, że już najwyższy czas, żeby zmienić kapelana.

- Już o tym myślałem.

Wymienili znaczące spojrzenia, gdyż obydwójce doskonale wiedzieli, że obecny kapelan nie mając w ciągu ostatnich lat wiele do roboty, zbyt często zaglądał do kieliszka. Zaniebyszał obowiązku regularnego odprawiania mszy świętej w zamkowej kaplicy do tego stopnia, że mieszkańcy zamku mieli możliwość uczestniczenia w nabożeństwie tylko raz w miesiącu.

Książę zaczął rozmyślać o tej sprawie i o wielu innych problemach, wymagających jego osobistego zaangażowania. Powiedział prawdę markizie, że nie spodziewał się odziedziczenia tytułu i majątku. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że jego stryj mógłby zejść ze świata w sile wieku. Garonowie cieszyli się długowiecznością, więc nie zamierzał tracić życia na oczekiwanie na śmierć stryja. Odnalazł w sobie liczne zainteresowania i zdolności, nauczył się sześciu języków i tym wypełnił swoje życie. Wiele podróżował do odległych krajów i gdy ciotka wspomniała o osiedleniu się w

zamku, wydało mu się to bardzo nudne w porównaniu z przygodami, jakich doświadczył w ciągu ostatnich kilku lat.

Przyszło mu do głowy, że oprócz reorganizacji majątku mógłby się też zająć pracą w Izbie Lordów. Zawsze interesował się polityką, a w szczególności sprawami zagranicznymi.

Markiza skończyła pić kawę i odstawiła filiżankę.

- Zostawię cię teraz, Justynie, przy kieliszeczku porto - rzekła - a jutro zacznę myśleć o powrocie do domu.

- Po co ten pośpiech, ciociu Muriel - rzekł książę. - Bardzo mi zależy, żebyś jeszcze trochę została i dopomogła mi w załatwianiu spraw rodzinnych. Nie miałem kontaktu z rodziną przez długie lata.

- Inni krewni z radością ci dopomogą - powiedziała - lecz jeśli życzysz sobie mojej rady, jestem do twojej dyspozycji. Pochlebia mi, że mogę być ci w czymś pomocna.

Wstała z krzesła, a książę pobiegł w stronę drzwi, żeby je przed nią otworzyć.

- Dobranoc, mój chłopcze - rzekła. - Sprawia mi niezwykłą radość móc cię widzieć na miejscu mojego ojca. To był wspaniały mężczyzna. Mógłby być dumny ze swojego wnuka.

- Dziękuję, ciociu - odrzekł książę.

Nachylił się i ucałował ciotkę w policzek, a ona wyprostowana i z podniesioną głową ruszyła korytarzem w stronę głównego holu.

Książę wrócił na swoje miejsce przy stole i nalał sobie z kryształowej karafki kieliszek porto. Wziął go do ręki i zwrócił twarz w stronę zawieszzonego nad kominkiem portretu jednego z przodków, budowniczego zamku, na którego cześć nadano mu imię Justyn.

- Za wszystkich Garonów! - rzekł. - I za to, żebym okazał się godny ciebie, lordzie Justynie, i wszystkich twoich następców, którzy przysłużyli się Anglii.

Wypił porto i z rozbawieniem rozsiadł się na krześle. Zdawał sobie sprawę ze starożytności i powagi zamczyska i z roli, jaką odegrał w kształtowaniu jego charakteru jeszcze w czasach dzieciństwa. Jako dziecko spędzał tu wiele czasu. Jego ojciec kochał zamek, a dziadek bardzo był kontent, mogąc otaczać się rodziną.

Zamek rodzinny wciąż nosił w swym sercu, śniły mu się po nocach jego wieże i wieżyczki. Miał on dla niego powab, jakiego nie znalazł dotychczas w żadnej kobiecie.

Takie myśli zaprzętały mu głowę, kiedy do pokoju wszedł kamerdyner i zameldował:

- Wasza wysokość raczy wybaczyć, ale jakaś dama pyta o panią markizę, która już się położyła i nie śmiem jej przeszkadzać.

- Słusznie postąpiłeś, Daltonie - rzekł książę. - Pora jest istotnie zbyt późna jak na składanie wizyt.

- Nie sędzę, żeby to była wizyta, milordzie. Ta młoda dama przyjechała specjalnie z Londynu, żeby się zobaczyć z jaśnie wielmożną panią markizą.

- Z Londynu, o tej porze?

- Ale taka jest prawda. Ta dama bardzo nalega i, jak sędzę, nie odjedzie, zanim nie dopnie swego.

Książę chciał odpowiedzieć, że niespodzianego gościa może przyjąć sekretarz zmarłego wuja pan Arran, ale przypomniał sobie, że przecież zaraz po pogrzebie wysłał go do Londynu. Było oczywiste, że ukazanie się w prasie wiadomości o śmierci księcia spowoduje lawinę próśb o pieniądze, a nawet prób szantażu ze strony kobiet, z którymi zmarły utrzymywał stosunki.

Po cichu Justyn nazywał je ulicznicami z Piccadilly i był przekonany, że użyją całego swojego sprytu, żeby wyciągnąć od spadkobierców księcia jak najwięcej pieniędzy.

- Nie możemy dopuścić do skandalu - powiedział książe do Arrana. - A równocześnie, jeśli okazemy zbytnią hojność wobec jednej z tych dam, następnego dnia pojawi się tu ich tuzin.

- Zdaję sobie z tego sprawę, wasza wysokość - odrzekł pan Arran. - Z przerażeniem patrzyłem, jak w ciągu ostatnich kilku lat pieniądze rozchodziły się na tego rodzaju kreatury.

- To się już nie powtórzy - zapewnił stanowczo książe.

Ponieważ zabrakło pana Arrana, który nabrał już niejkiej wprawy w rozmowach z tego rodzaju osobami, książe z irytacją w głosie powiedział:

- Przypuszczam, że nie mam innego wyjścia, jak spotkać się z tą kobietą. Mam nadzieję, że czeka na nią jakaś dorożka, żeby ją odwieźć, kiedy skończymy rozmowę.

Kamerdyner spojrział na niego z zakłopotaniem..

- Ośmielam się zauważyć, że nie. - A widząc w oczach księcia pytanie, wyjaśnił szybko: - Właśnie jadłem kolację na dole, a na służbie w holu był tylko jeden z lokajów, kiedy ta dama przyjechała wynajętą dorożką ze stacji kolejowej. Woźnica wyładował jej bagaż i odjechał nie zwracając uwagi na tłumaczenia Jamesa, żeby na nią zaczekał.

Książe zacisnął wargi. To niesłychane, żeby tak się narzucać, pomyślał. Przyjeżdżać po nocy i automatycznie domagać się noclegu.

- Gdzie wprowadziłeś tego natrętnego gościa? - zapytał.

- Do pokoju, w którym zazwyczaj pisze się listy, ponieważ znajduje się on najbliżej drzwi wyjściowych. A gdzie wasza wysokość zechce ją przyjąć?

- W bibliotece - rzekł książe.

Wyszedł z jadalni i udał się korytarzem w stronę biblioteki. Miał nadzieję, że wieczór spędzi spokojnie na obmyślaniu własnych planów, a tu nagle jakaś obca osoba przeszkadza mu i pewnie będzie się naprzykrzać o pieniądze. Znajome stryja nigdy nie interesowały się niczym innym. Będzie musiał z pewnością wysłuchać jakiejś łzawej historyjki. Ta kobieta chyba dlatego pytała o markizę, bo wiedziała, że ciotka zajmuje się dobroczynnością i działa w licznych instytucjach charytatywnych. „Ale ta pani wkrótce się przekona, że ze mną tak łatwo jej nie pójdzie”, pomyślał.

Kiedy wszedł do biblioteki, stanął odwrócony plecami do średniowiecznego kominka, na którym wymalowane były tarcze herbowe Garonów. Książki, które zgromadzono w tej komnacie na przestrzeni wieków, sięgały od podłogi do wysokiego sufitu. Dokoła sali biegła galeryjka, na którą prowadziły strome schody. Książę przypomniał sobie, jak bawił się tam w dzieciństwie. Pomyślał też z satysfakcją, że teraz będzie miał gdzie pomieścić własne zbiory książek. W tym momencie wszedł kamerdyner i zaanonsował:

- Panna Katie King, wasza wysokość!

Książę przyglądał się drobnej figurce, która weszła do pokoju. Przez chwilę w świetle lampy mógł dojrzeć tylko długi, ciemny płaszcz. Gdy kobieta podeszła bliżej, dostrzegł drobną twarzyczkę, delikatny podbródek i dwoje ogromnych oczu, wpatrujących się w niego z obawą.

Przyszło mu na myśl, że jest niezwykle ładna, a gdy dojrzał jej włosy pod skromnym kapeluszem, przytrzymywanym tanimi wstążkami - aż dech mu zaparło. Pomyślał, że to gra jego wyobraźni, potem - że ten kolor to wynik farbowania. Gdy jednak stanęła naprzeciw, przekonał się, choć wydawało mu się to nie do wiary, że ma przed sobą włosy o barwie, jaką Boucher nadał swojej Dianie na obrazie, który podziwiał u hrabiego de Roques w Paryżu.

Ponieważ księżę milczał, stojąca na wprost niego kobieta czuła się w obowiązku coś powiedzieć. Jej głos był delikatny, dźwięczny i wyczuwało się w nim zdenerwowanie.

- Pragnęłabym się usprawiedliwić, że... przybywam tak późno, lecz pociąg się spóźnił, a ja... nie wiedziałam, dokąd mam się udać.

Laurencja nie chciała przyznać się księciu, że znalazła się w kłopotcie, ponieważ przekonała się, iż nie ma pieniędzy na zatrzymanie się w gospodzie.

Stacyjka, na której Harry Carrington kazał jej wysiąść, okazała się wioską, w której niełatwo było znaleźć środek transportu do położonego w odległości siedmiu mil zamku.

Jeszcze na początku podróży w przedziale drugiej klasy, w którym umieścił ją Harry, przekonała się, że ma bilet tylko w jedną stronę. Miała wrażenie, że Harry specjalnie nie kupił dla niej biletu powrotnego, żeby zmusić ją do zdobycia niezbędnych pieniędzy.

Stwierdziła też, że brak jej pieniędzy na najniezbędniejsze wydatki w podróży. Nie wiedziała, ile może kosztować przejazd ze stacji kolejowej do zamku i ile trzeba by zapłacić w gospodzie za nocleg. Ponadto obawiała się, że w gospodzie mogłyby ją spotkać jakieś nieprzyjemności.

Zdawała sobie sprawę, że ojciec byłby przerażony, gdyby się dowiedział, że wybrała się samotnie w podróż i że korzystała z wynajętego pokoju. Dlatego niezależnie od późnej pory zdecydowała się na jazdę do zamku, mając nadzieję, że markiza okaże się uprzejma i udzieli jej noclegu.

Kiedy przybyła na miejsce, woźnica - zamiast na nią poczekać w przypadku gdyby nie zastała markizy - oświadczył ponuro: - Wracam natychmiast z powrotem!

- Proszę zaczekać choć parę minut - poprosiła.

Potrząsnął przecząco głową. - Pani mi da moje pieniądze.

Ponieważ wstydziła się robić scenę w obecności lokaja, zapłaciła woźnicy, a ten wystawił jej kuferek z dorożki i pojechał, nie podziękowawszy nawet za napiwek.

To wszystko tak bardzo ją zdenerwowało, że gdy stanęła przed księciem, wprost nie mogła wydobyć z siebie głosu - taki strach ją ogarnął.

- W tej części kraju to nagminne, że pociągi się opóźniają - odezwał się w końcu książę. - Ponieważ moja ciotka udała się już na spoczynek, może będzie pani tak uprzejma i powie mi, co panią do nas sprowadza?

Takiego obrotu sprawy Laurencja się nie spodziewała. Podczas podróży przygotowywała się w myśli do rozmowy z markizą Humber, starszą już damą, która być może wykazałaby zrozumienie dla potajemnych związków małżeńskich.

Harry Carrington opowiedział jej o markizie. Swoje informacje czerpała z książek pożyczonych w publicznej bibliotece. Wynikało z nich, że markiza, podobnie jak grono jej przyjaciół, zajmowała się filantropią, a ponadto wspierała działania ministra Gladstona, zmierzające w kierunku pomocy „kobietom upadłym”.

Laurencja w pierwszej chwili nie wiedziała, co ten zwrot oznacza. Kiedy się domyśliła, oblała się rumieńcem.

- Nie zamierzałem pani sugerować - rzekł Harry - że będzie pani musiała udawać tego rodzaju kobietę. Książę ożenił się z Katie, ponieważ była porządną dziewczyną i nie chciała się zgodzić na żaden inny związek oprócz małżeństwa. Chcę pani tylko powiedzieć, że markiza ma opinię osoby wyrozumiałej.

- Tak... oczywiście - wybąkała Laurencja czując, jak bardzo krępujące jest poruszanie tego tematu w rozmowie z mężczyzną.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że gdy przybędzie do zamku, nie będzie mogła spotkać się z markizą, lecz zaprowadzą ją do księcia.

Książę był bardzo wysokim mężczyzną i nawet na tle ogromnych komnat zamkowych jego wzrost przytłaczał ją, a nawet przerażał. Zdawało się Laurencji, że jego wzrok przenika ją na wylot i odgaduje bez trudu, iż nie jest żadną Katie King czy też księżną Tregaron, lecz córką zbiedniałego profesora historii średniowiecznej.

Ale wkrótce uświadomiła sobie, że jej własne obawy się nie liczą, a najważniejszą w tej chwili sprawą są pieniądze niezbędne dla ratowania życia jej ojca i Katie King. Pieniądze te zostały już pożyczone na wysoki procent od Izaaka Levy'ego, a jej zadanie polegało na wyciągnięciu dużo wyższej sumy od rodziny Garonów. Izaak Levy, którego Harry Carrington przyprowadził do niej pewnego popołudnia podczas drzemki ojca, wzbudził jej nienawiść. Był to starszy już mężczyzna o haczykowatym nosie, ciemnych włosach i tak przenikliwych czarnych oczach, że czuła się w jego obecności bardzo niezręcznie.

Pan Levy spoglądał na nią w taki sposób, jakby była koniem wyścigowym, na którego zamierzał postawić wysoką stawkę i oczekiwał dużej wygranej. Choć Izaak Levy nic nie mówił, domyśliła się, że pożyczycy im pieniądze, a tym samym życie ojca będzie uratowane. Nie mogła się jednak zmusić, żeby mu podziękować. Równie trudne było podanie mu ręki na pożegnanie.

Kiedy lichwiarz odszedł, powiedziała do siebie, że pieniądze, które im pożyczycy, muszą być jak najszybciej spłacone, ponieważ dług wobec niego był dla niej nie do zniesienia. Książę widząc, że czeka na jego słowa stojąc, odezwał się:

- Może pani usiądzie, panno King? Może napiłaby się pani czegoś po tak długiej podróży? Może kieliszeczek wina?

- Dziękuję - odrzekła. - Czy mogłabym prosić o szklanekę wody?

Bardzo chciało jej się pić, wargi miała wyschnięte. Była nie tylko spragniona, ale i głodna. Ponieważ miała przy sobie niewiele pieniędzy, nie ośmieliła się kupić niczego do jedzenia podczas całej podróży.

- Jeśli życzy pani sobie wody, oczywiście o nią poprosimy - rzekł. - Ponieważ odmawia pani wina, czy mógłbym panią poczęstować filiżanką kawy? - Spojrzał na nią i dostrzegł niezwykłą bladość jej twarzy, a potem dodał: - Kiedy ostatnio jadła pani jakiś posiłek? Wiem, że na stacjach o to niełatwo.

- Nic mi nie jest - wyszeptała.

- Nie o to pytałem.

- Nic nie jadłam, odkąd wyjechałam z Londynu. Spojrzał na nią zdumiony i zadzwonił na służącego, który pojawił się natychmiast.

- Czy wasza wysokość dzwonił?

- Tak. Powiedz szefowi kuchni, żeby przygotował coś szybko dla panny King. Może zupę i omlet, byle jak najprędzej.

- Dobrze, wasza wysokość!

Kiedy lokaj wyszedł, Laurencja powiedziała:

- Bardzo mi przykro, że narobiłam tyle kłopotu. Byłam pewna, że przyjadę wcześniej i będę mogła porozmawiać z wielmożną panią markizą.

- Postaram się ją zastąpić - rzekł książę. - Czy mógłbym pani zasugerować, panno King, żeby pani zdjęła płaszcz i kapelusz? Tak będzie wygodniej.

Nie mógł powstrzymać ciekawości, by nie przyjrzeć się dokładniej jej włosom. Wprost wierzyć się nie chciało, że mogą być takie piękne.

Laurencja wstała i posłusznie niczym dziecko zdjęła okrycie. Księżę odebrał je od niej i położył na krześle obok drzwi. Gdy wrócił z powrotem, dostrzegł, że dziewczyna rozwiązuje wstążki kapelusza i zdejmuje go z głowy. Gdy ujrzał jej złocistorude włosy, pomyślał, że założyłby się o cały swój majątek i tytuł na dokładkę, że ich barwa jest naturalna.

Nigdy - chyba tylko na obrazach - nie widział takiego koloru włosów. Patrzył na Laurencję i uświadomił sobie, że stoi przed nim żywa „Diana” Bouchera.

Laurencja położyła kapelusz na krześle, złożyła ręce na kolanach i patrzyła na księcia, nie wiedząc co ma dalej mówić czy robić. A on z kolei zastanawiał się, czemu jest taka zdenerwowana. Aby ją uspokoić, usiadł po drugiej stronie kominka.

- A teraz proszę mi powiedzieć - odezwał się - co panią tutaj sprowadza, panno King. Musi to być niezmiernie ważna sprawa, skoro zdecydowała się pani na tak daleką podróż.

- Tak, sprawa jest istotnie bardzo ważna - wyszeptała.

Wiedziała, że czeka na jej odpowiedź, jednak nie mogła zdecydować się, żeby otworzyć torebkę i wyjąć papiery, które ze sobą przywiozła. Poczowała nagłe pragnienie, żeby stąd jak najprędzej uciec, powiedzieć, że wszystko było straszliwą omyłką, i wrócić do domu w Londynie.

W końcu pomyślała, że nie ma się czego bać, że musi wziąć na siebie odpowiedzialność za chorego ojca. Przemogła się i powiedziała cichym głosem:

- Przywiozłam ze sobą te dokumenty... proszę je łaskawie zobaczyć.

Mówiąc to wyciągnęła w stronę księcia dwie kartki papieru - nie wstała z miejsca, gdyż czuła, że nogi odmawiają

jej posłuszeństwa. Książę zbliżył się i wziął dokumenty z jej rąk. Następnie usiadł wygodnie, założywszy nogę na nogę, i wziął się za czytanie pierwszego z dokumentów. Było to świadectwo ślubu. Kiedy je czytał, Laurencja czuła, że nie jest w stanie patrzeć w jego kierunku. Zapanowała cisza, którą przerwało pytanie księcia:

- Ile pani ma lat?

- Dwadzieścia trzy.

Laurencja spodziewała się tego pytania, była na nie przygotowana, tylko głos ją zawodził.

- A więc miała pani siedemnaście lat, kiedy poślubiła pani mojego stryja?

- Tak.

- Myślę, że pani rodzice wyrazili zgodę na ten związek.

- Obydwoje rodzice już wtedy nie żyli.

- Ponieważ napisano, że jest pani aktorką, czy mam przez to rozumieć, że zarabiała pani na życie występując na scenie?

- Tak.

- A gdzie?

- W teatrzyku Olimpia.

Książę skinął głową, jakby słyszał o tym teatrzyku, następnie obejrzał list, potem świadectwo ślubu, w końcu zapytał:

- Czy nie wydało się to pani dziwne, że osoba tak wysoko postawiona jak książę Tregaron pragnie panią poślubić?

- Książę zapraszał mnie wielokrotnie na kolację, zanim uczynił mi tę propozycję.

To Harry zasugerował jej, żeby to powiedziała, a nawet dodał:

- Katie była uczciwą dziewczyną i jak już pani mówiłem, zaproponował jej początkowo zupełnie coś innego, ale ona odmówiła.

- Rozumiem - rzekła Laurencja i zarumieniła się.

- Myślę, że zdaje pani sobie sprawę - kontynuował książe
- że jest pani, jeśli to prawda, księżną Tregaron i przysługuje
pani należna z tego tytułu pozycja.

- Ależ ja wcale nie chcę być księżną Tregaron - rzekła
szybko Laurencja. - Jestem tutaj tylko dlatego, że od sześciu
miesiący nie otrzymałam pieniędzy, które mi się należą za
dotrzymanie tajemnicy.

- A więc on pani płacił? - zapytał książe i teraz dopiero
Laurencja zorientowała się, że niezbyt dobrze przedstawiła
swoją historię.

Harry wytłumaczył jej dokładnie, co ma mówić, lecz była
bardzo zdenerwowana i zamiast zacząć od początku, zaczęła
od końca. Odetchnęła głęboko i wykrztusiła:

- Kiedy po naszym ślubie okazało się, że nie mogę dać
jemu wysokości upragnionego syna... jego wysokość obiecał
mi, że do końca życia otoczy mnie komfortem, jeśli nikomu
nie powiem o naszym ślubie. - Czuła, że głos jej się łamie,
lecz mówiła dalej: - Dałam mu słowo, że dochowam
tajemnicy i dochowywałam jej, ale od sześciu miesięcy
pieniądze przestały przychodzić, a ja bardzo ich
potrzebowałam.

- Jakie to były pieniądze i w jaki sposób je pani
otrzymywała? - zapytał książe.

- Nadchodziły pocztą - piętnaście funtów miesięcznie.

- I to wszystko?

- Tak. To była wystarczająca suma, zwłaszcza że
pracowałam.

- Gdzie pani teraz występuje?

- Grałam w teatrze Rozmaitości, ale dwa miesiące temu
zachorowałam. Miałam gorączkę i nie mogłam pracować.
Dlatego pieniądze są mi bardzo potrzebne.

- Rozumiem to - rzekł książę. - Kiedy się więc pani dowiedziała, że mój stryj nie żyje, pomyślała pani, że jego rodzina dopomoże pani.

- Taką właśnie miałam nadzieję - wyszeptała Laurencja. - Obiecuję, że nadal dochowam tajemnicy, jeśli pan będzie tak dobry i da mi większą sumę w całości, a nie drobniejsze sumy raz na miesiąc.

Słowa Harry'ego, które wtłoczył jej do głowy - choć bezładnie - jednak zostały wypowiedziane. W tym samym momencie poczuła nagły zawrót głowy: cały pokój zdawał się wirować. Książę coś mówił, lecz jego słowa do niej nie docierały. Zdawało jej się, że gdzieś wybiegł. Potem uświadomiła sobie, że mówi do kogoś, lecz nie rozumiała wypowiadanych słów. Wreszcie poczuła, że ktoś przykłada jej do ust szklankę z jakimś napojem.

- Proszę to wypić! - usłyszała rozkazujący głos i posłusznie pociągnęła jeden łyk.

- Jeszcze trochę!

To nie była woda, lecz alkohol. Poczowała w gardle ognistą ciecz, otworzyła oczy i ujrzała pochylającego się nad sobą księcia.

- Bardzo przepraszam... - próbowała mówić.

- Gdzie to jedzenie? To trwa stanowczo zbyt długo! Książę powiedział to nie do niej, lecz do stojącego za nim kamerdynera, trzymającego na tacy karafkę.

- Pójdę sprawdzić, co się dzieje, wasza wysokość.

- Powiedz im, żeby natychmiast przynieśli zupę.

- Tak jest, wasza wysokość.

Laurencja siedziała z głową opartą o jedwabną poduszkę, nie była jednak w stanie zmienić pozycji i wyprostować się. Wypity alkohol sprawił, że mgła przesłaniająca jej wzrok ustąpiła, rozjaśniły się też nieco jej myśli.

Książę nic nie mówił, stał tylko i czekał, aż po kilku minutach drzwi się otworzyły i wszedł kamerdyner w towarzystwie dwóch lokajów. Postawił przed Laurencją mały stoliczek przykryty koronkowym obrusem i ustawił na nim tacę, na której stała srebrna waza z zupą oraz głęboki porcelanowy talerz pięknej roboty, na który mimo słabości zwróciła uwagę. Kamerdyner nalał zupę na talerz i nie pytając ją o zdanie napełnił winem kieliszek.

Laurencja widząc, ile sprawiła kłopotu, przemogła się, usiadła prosto i zaczęła jeść zupę, która była gorąca i wyśmienita. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo była głodna. Opróżniła talerz nie patrząc na księcia, który siedział obok i przyglądał się jej z uwagą. Wkrótce pojawił się lokaj niosąc omlet z grzybami przyrządzony tak doskonale, że jako dobra kucharka musiała to docenić. Jadła w milczeniu, czując jak z każdym kęsem nabiera sił. Wypiła nieco wina i spróbowała nawet uśmiechnąć się do księcia.

- Myślę, że czuje się już pani lepiej? - zapytał.

- Bardzo mi przykro z powodu mojego zachowania.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego - rzekł. - Miała pani za sobą długą podróż, a poza tym wspomniała pani, że nie czuje się dobrze.

Kamerdyner zbliżył się, żeby zabrać tacę.

- Może zjadłaby pani jeszcze coś? - zapytał książę.

- Nie, dziękuję.

Kamerdyner wraz z lokajami wyszli z pokoju, a książę zapytał:

- Czy czuje się pani wystarczająco dobrze, żeby kontynuować naszą rozmowę, czy wolałaby pani odłożyć ją do jutra?

- Może pan chciałby przemyśleć to, co panu powiedziałam.

- Rozumiem, że zobowiąże się pani utrzymać nadal w tajemnicy małżeństwo z moim stryjem, jeśli wesprzemy panią finansowo. Ponadto woli pani uzyskać jednorazowo większą sumę zamiast comiesięcznych wypłat, jakie otrzymywała pani dotychczas. Czy dobrze pojąłem sens pani słów?

- Tak, to właśnie miałam na myśli.

- Jaka suma wchodziłaby w grę, żeby zapewnić sobie pani milczenie, powiedzmy, do końca pani życia?

Choć wcześniej przeciwiczyła z Harrym prawdopodobny przebieg rozmowy, to kiedy nadszedł najbardziej decydujący moment, poczuła zażenowanie. Pięć tysięcy funtów stanowiło sumę ogromną i choć Harry powtarzał jej wielokrotnie, że to dla księcia drobiazg, poczuła, że żądać tak wiele byłoby chciwością, że Garonowie, usłyszawszy taką propozycję, mogliby sądzić, że są szantażowani.

„A czym innym jest to, co zamierzam zrobić?”, rozmyślała jadąc pociągiem. „Szantaż to próba wyłudzenia pieniędzy pod groźbą skompromitowania w razie odmowy spełnienia warunku. Ja to właśnie zamierzam uczynić i dlatego czuję się jak przestępca”.

Harry Carrington stał się bardzo nieprzyjemny, kiedy mu zasugerowała, że mogłaby poprosić o połowę tej sumy, licząc na to, że rodzina Garonów okaże się bardziej hojna.

- A niby czemu mają być wspaniałomyślni teraz, kiedy księżę nie żyje? - powiedział ostro. - Czy widziała pani kiedyś kogoś, kto dawałby więcej pieniędzy niż musi? Trzeba pani wiedzieć, że bogacze są skąpi, chyba że spodziewają się odnieść jakąś korzyść ze swojej wspaniałomyślności. - I podnosząc głos mówił dalej: - Gdyby mogli, najchętniej odprawiliby panią z kwitkiem! Zażąda pani pięciu tysięcy funtów, jak powiedziałem. Być może będą próbowali się wykręcić, lecz wątpię, żeby do tego doszło. Będą się bali, że jako księżnej należy się pani dużo więcej.

Gdy więc nadszedł decydujący moment i Laurencja miała powiedzieć o jaką sumę jej chodzi, wolałaby znów popaść w omdlenie.

- Czekam na pani odpowiedź - ponaglił ją książę.

- Myślałam o pięciu tysiącach funtów - wyszeptała Laurencja. Nie miała śmiałości spojrzeć na niego, spuściła wzrok i zaczerwieniła się.

- Uważa pani, że jest to właściwa i sprawiedliwa suma? - zapytał książę.

- Może uważa pan, że to zbyt dużo - rzekła nieśmiało.

- Jeśli mam być szczery, to uważam, że zachowując tak długo tajemnicę dała pani dowód wielkiej lojalności, lecz zastanawiam się, jak by pani postąpiła, gdybym odmówił.

Laurencja uniosła głowę i spojrzała na niego oczami pełnymi strachu.

- Ależ pan musi mi dać te pieniądze! - zawołała. - Przynajmniej część muszę mieć natychmiast!

- A czemu to takie pilnie?

- Ponieważ mam pewne zobowiązanie. Odpowiedź ta przyszła jej na myśl, gdyż wciąż oczami wyobraźni widziała Izaaka Levy'ego, oczekującego na zwrot pożyczki, i z przerażeniem rozważała możliwość powrotu do domu z pustymi rękami.

- Zobowiązanie? - zainteresował się książę. - Czy to znaczy, że jest pani zadłużona?

- Tak - odrzekła Laurencja. - Cięży na mnie dług i jeśli go nie spłacę, może to mieć dla mnie poważne konsekwencje.

Wyraz jej twarzy świadczył dowodnie, jak poważne to były konsekwencje.

- Ile wynosi pani dług? - zapytał książę. Laurencja zaczęła liczyć gorączkowo: dwieście funtów za każdą operację, do tego dochodzi drugie tyle dla Izaaka Levy'ego, jeśli pożyczka zostanie spłacona w ciągu miesiąca.

- Jestem winna ponad osiemset funtów - powiedziała łamiącym się głosem. Mówiąc to była pewna, że księżę jej uwierzy. Musiał uwierzyć zważywszy jej skromny wygląd i skromne ubranie. Zapanowało milczenie, które przerwały słowa księcia:

- Kto panią posłał?

- Nikt. - Mówiąc to Laurencja prosiła Boga o wybaczenie za wypowiedziane kolejne kłamstwo.

- Kto pani doradził sumę, o jaką może pani prosić?

- Nikt.

Zastanawiała się, jak długo jeszcze potrwa to przesłuchanie. Każdą odpowiedź księżę musiał wyrywać z niej niemal siłą.

- Myślę, że musi być pani bardzo zmęczona - powiedział księżę po chwili milczenia. - Proponuję, żeby się pani położyła. Ja też muszę przemyśleć wszystko, co mi pani powiedziała, a jeśli zgodzi się pani, zasięgnąć rady mojej ciotki, markizy Humber. Będę musiał również skonsultować całą sprawę z moimi prawnikami.

- Po co? - zapytała Laurencja. - W jakim celu chce pan to robić? Przecież mógłby pan po prostu dać mi te pieniądze i pozwolić mi wrócić do Londynu!

- Tak bardzo spieszo pani do Londynu? A to czemu?

- Muszę wrócić do... teatru, a poza tym jest ktoś, kto mnie potrzebuje.

- Mężczyzna?

Przez moment się zawahała, po czym odrzekła szybko:

- Ten ktoś jest bardzo chory i muszę się nim opiekować.

- Zatem śpieszy się pani, bo nie stać panią na opłacenie zastępstwa w opiece nad chorym?

- Właśnie tak.

- Rozumiem pani sytuację - rzekł księżę - ale muszę spojrzeć na dowody, które mi pani przywiozła, z punktu

widzenia dobra mojej rodziny. Jeśli jest pani w istocie żoną czwartego księcia Tregarona, imię pani powinno być umieszczone w rodzinnych archiwach i zaznaczone na rodzinnym drzewie genealogicznym.

- Ależ nie - odezwała się Laurencja - nie ma potrzeby tego robić! To był tylko cichy ślub i zrozumiałe, że powinnam pozostać w cieniu. Jedyne, o co pana proszę, to o spełnienie obietnicy zmarłego księcia, że zaznam odrobiny komfortu tak długo, jak długo dochowam tajemnicy.

- Nie wydaje mi się, żeby był zbyt hojny.

- Ta suma była zupełnie wystarczająca na tamte czasy. Teraz jednak chciałabym się uwolnić od oczekiwania na comiesięczny przekaz i niepokoju, że mógłby nie nadejść.

- Jak pani sądzi, na jak długo starczy pani pięć tysięcy funtów? Jaką możemy mieć pewność, że gdy się pani skończą pieniądze, nie przyjdzie pani po więcej? - zapytał.

- Mogę tylko dać panu moje słowo.

- Przez sześć lat dotrzymała pani słowa, to prawda - zgodził się książę. - Czasy się jednak zmieniają, a ludzie wraz z nimi. Może nie będzie pani mogła występować na scenie? Co wówczas?

- Och, proszę... - błagała Laurencja. - Przestańmy się zajmować przyszłością, mówmy o teraźniejszości. Te osiemset funtów to dla mnie sprawa życia lub śmierci! Muszę je mieć. Reszta pieniędzy ma mniejsze znaczenie.

Wiedziała, że Harry Carrington byłby na nią wściekły za te słowa. Pomyślała jednak, że jedyne co naprawdę się liczy, to opłacenie obydwu operacji i zwrot pieniędzy Izaakowi Levy'emu. Potem jednak przyszło jej na myśl, że ani ojciec, ani Katie King nie będą zdolni do pracy jeszcze przez długi czas. „W takim razie sama będę musiała zarobić na życie” - pomyślała, lecz nie miała pojęcia, co właściwie mogłaby robić.

Poczuła, że księżę bardzo dokładnie się jej przygląda. Spojrzała na niego, a w jej zielonkawych oczach kryła się prośba.

- Niech pan nie stawia mnie w trudnej sytuacji - rzekła. - Już i tak przyjazd tutaj wiele mnie kosztował. Gdybym mogła tego uniknąć, nie nagabywałabym pana o pieniądze. To dla mnie upokarzające i poniżające, lecz nie miałam innego wyjścia.

W jej głosie brzmiało wzruszenie. Księżę nie mógł się oprzeć nie tylko wypowiedzanym słowom, lecz także wyrazowi jej oczu, a przy tym wszystkim światła w pokoju zdawały się igrać w jej rudych włosach, gdy poruszała głowę.

- Już pani mówiłem, że wypoczynek dobrze pani zrobi - rzekł. - Jutro ujrzy pani wszystko w zupełnie innym świetle.

- Ale pozwoli mi pan wrócić do Londynu jak najszybciej?

- Wezmę pod uwagę pani życzenie - mówiąc to wstał, więc Laurencja również podniosła się z siedzenia. Księżę sięgnął po dzwonek.

- Czy mogę zatrzymać ten list i świadectwo ślubu, żeby pokazać je mojej ciotce? - zapytał.

- Oczywiście.

- Czy nie okazuje pani zbytnej łatwowierności? Przecież mógłbym zniszczyć te papiery.

Laurencja wiedziała, co odpowiedzieć:

- Nawet gdyby chciał pan to zrobić, w co zresztą wątpię, to wpis o zawarciu małżeństwa znajduje się w księgach metrykalnych w katedrze w Southwark. - Harry Carrington mógłby być dumny z jej odpowiedzi.

Poczuła również, że jej słowa przekonały księcia. W tym momencie w drzwiach stanął kamerdyner:

- Czy wasza wysokość dzwonił?

- Panna Katie King zanocuje u nas. Poproś panią Fellows, żeby się nią zajęła.

- Tak jest, wasza wysokość.

Książę wyciągnął rękę w stronę Laurencji.

- Dobranoc, panno King. Życzę pani przyjemnych snów. Musi być pani bardzo znużona po tak wyczerpującym dniu.

Laurencja skłoniła się, a kiedy jej ręka znalazła się w jego dłoni, książę poczuł, jak bardzo jest zimna i drżąca. Przyglądał się Laurencji, jak szła przez pokój: jej włosy zaplecione w dwa grube warkocze spoczywały na plecach, mieniąc się słonecznym blaskiem. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, książę wyszeptał:

- Stryj Murdoch i ta dziewczyna! To wprost nie do wiary!

ROZDZIAŁ 4

Wstałaś dziś bardzo wcześnie, Justynie - powiedziała do księcia markiza, kiedy pojawił się rankiem w jej buduarze.

Była już całkowicie ubrana, gdyż nie wyobrażała sobie przyjmowania kogokolwiek, nawet własnego bratanka, w negliżu. Ciasno zasznurowany gorset opinał jej Figurę niczym pancerz, fryzurę miała kunsztownie ułożoną przez służącą, na jej szyi połyskiwało pięć sznurów pereł, a na rękach - oszpeconych niebieskimi węzłami żył - kilka brylantowych pierścionków.

- Wybacz mi, ciociu Muriel, to najście - usprawiedliwiał się książę - lecz jest pewna niezwyklej wagi sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać. Chcę zasięgnąć twojej rady, gdyż to sprawa dotycząca całej rodziny.

Markiza spojrzała na bratanka ze zdumieniem. On tymczasem usiadł, a kiedy służąca wyszła wynosząc tacę ze śniadaniem, powiedział:

- Wczoraj wieczorem, kiedy już poszłaś do siebie, powiadomiono mnie, że jakaś młoda kobieta chce się z tobą widzieć.

- Widzieć się ze mną o tak późnej porze! - wykrzyknęła markiza.

- Pomyślałem to samo - rzekł książę - a ponieważ nie chciałem cię niepokoić, spotkałem się z nią osobiście. Ta kobieta powiedziała mi, że sześć lat temu poślubiła stryja Murdocha.

Przez chwilę wydawało się, że markiza nie rozumie, co się do niej mówi. Siedziała jak skamieniała, wreszcie odezwała się nieswoim głosem:

- Czy dobrze cię rozumiem: poślubiła Murdocha?

- Ta młoda kobieta twierdzi, że ślub zawarli, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat. Choć, jak mówi, występuje na

scenie, nie należy do tego gatunku kobiet, z którymi zwykle zadawał się stryj Murdoch.

Markiza na moment przymknęła oczy. Mimo bladości panowała nad sobą i po chwili rzekła:

- A więc aktorka! Tego właśnie można się było spodziewać!

- Niezupełnie aktorka - wyjaśnił książę - właściwie tancerka z wodewilu,

- I Murdoch się z nią ożenił?

- Przywiozła ze sobą świadectwo ślubu i list stryja Murdocha, mówiący, że żeniąc się z nią ma nadzieję, iż da mu syna.

- Tego się obawiałam najbardziej - westchnęła markiza. - I co, urodziła mu syna?

- Na szczęście nie, lecz kiedy rozwiały się nadzieje stryja Murdocha, zapłacił jej, żeby nigdy nikomu nie wspominała o tym ślubie.

- I ona dotrzymała słowa przez te wszystkie lata?

- Wydaje się, że tak - rzekł książę. - Ta kobieta przysięga, że nikomu nie pisnęła nawet słówkiem, że jest bieżną Tregaron.

- Skąd ta pewność? - odezwała się markiza. - Szczerze mówiąc, nie bardzo chce mi się wierzyć, by Murdoch przy całej swojej głupocie był zdolny do poślubienia kobiety tego rodzaju - chyba że miałby pewność, iż nosi jego dziecko.

- Podzielam twoje wątpliwości, ciociu - rzekł książę. - A jednocześnie świadectwo ślubu wydaje się być prawdziwe. To samo dotyczy odręcznie napisanego listu stryja Murdocha. Zresztą, sama się o tym przekonasz.

Wręczył markizie list, a ta wzięła go odeń w taki sposób, jakby się obawiała, że samo jego dotknięcie może ją pokalać. Ujęła w rękę lorgnon, wiszące na złotym łańcuszku na jej szyi, i zaczęła czytać. Po chwili oddała mu list mówiąc:

- I ty pozwoliłeś tej kobiecie spędzić u nas noc?
- Nie miałem innego wyjścia.
- Wydaje mi się, że to był błąd. Ona może pomyśleć, że uwierzyliśmy w jej historyjkę.
- Możemy być do tego zmuszeni.
- Nie wierzę ani przez moment, żeby ta kreatura mogła być księżną Tregaron!
- Trzeba to sprawdzić - powiedział książę. - Jednak nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli będziemy ją drażnić.
- A jak twoim zdaniem powinniśmy się wobec niej zachować? - zapytała markiza. - Jak możemy się z tym pogodzić, żeby zwyczajna kobieta, której płacą za pokazywanie się na scenie, nosiła nasze nazwisko i została uznana za żonę mojego zmarłego brata?
- Znów przymknęła oczy, jakby chcąc odgrodzić się od tego wstrząsającego pomysłu.
- Przez całe wieki - mówiła - mężczyźni w naszej rodzinie dopuszczali się różnych przewinień. Byli wśród nich i utracjusze, i rozpustnicy! Lecz kobiety zawsze zachowywały się godnie, a płynąca w ich żyłach błękitna krew stanowi godne dziedzictwo następnych pokoleń!
- Wiem o tym, ciociu Muriel - rzekł książę. - Lecz tak czy owak problem, który przed nami stanął, musimy rozwiązać.
- W jaki sposób?
- Ta dziewczyna, Katie King, mówi, że jeśli damy jej pięć tysięcy funtów, zachowa milczenie do końca życia.
- A któżby liczył się ze słowem, danym przez kobietę tego rodzaju? - oświadczyła markiza.
- Jej argumenty brzmią przekonująco - rzekł książę. - Nie domaga się uznania jej za księżną Tregaron, pragnie tylko otrzymać osiemset funtów na spłacenie zaciągniętego długu.
- A więc dlaczego domaga się pięciu tysięcy?

- Wydaje mi się - powiedział książę - że ktoś podsunał jej tę sumę. Moim zdaniem, za tym wszystkim kryje się jakaś bardzo sprytna osoba.

- Sądziś więc, że ktoś usiłuje nas szantażować?

- Muszę brać pod uwagę i taką możliwość - oświadczył książę - choć nie mam na razie na to dowodów. Ta kobieta jest u nas i musimy zdecydować, co z nią zrobić.

- Odmawiam, stanowczo odmawiam wszelkich z nią kontaktów! - Markiza zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej: - Nigdy ci o tym nie wspominałam, ale mówiono mi o orgiach, jakie miały miejsce w domu twojego stryja w Londynie. W tym samym domu, w którym odbywał się mój pierwszy bal, który swoją obecnością zaszczyliła sama królowa. W tym domu, w którym brałam ślub. Ten dom twój stryj przemienił w chlew!

Gwałtowność wypowiedzi zdumiała księcia. Uświadomił sobie, jak bardzo raniło markizę to wszystko, co okrywało niesławą rodowe nazwisko. Z pozoru wydawała się kobietą miękkiego serca, dlatego jej ostre słowa przeciwko własnemu bratu tak bardzo go zaszokowały. Teraz dopiero zrozumiał jej uczucia. Oczywiście zdawał sobie sprawę z głębi upadku, w jaki stoczył się jego zmarły stryj. Odezwał się spokojnym tonem:

- Zobaczysz, że panna King jest zupełnie inna, niż ją sobie wyobrażasz. Nie możemy też zapominać, że miała zaledwie siedemnaście lat kiedy poślubiła stryja Murdocha, a on porzucił ją w krótki czas po ślubie.

- Ona wyszła za niego tylko dla tytułu i pieniędzy.

- Myślę, że tak było w istocie - rzekł książę - ale przecież nigdy nie używała tytułu. Ponadto stryj nie był dla niej zbyt hojny.

- Ile jej dawał?

Gdy ksiązę jej powiedział, markiza nie posiadała się ze zdumienia:

- Tylko tyle?

- Ona tak twierdzi.

- Przecież wiedziała, że Murdoch jest niezwykle bogaty.

- Ona powiada, że nie zamierzała wzbogacić się na tym małżeństwie, a pojawiła się u nas tylko dlatego, że zachorowała, nie mogła pracować i popadła w długi.

- Ta historyjka jest mi dobrze znana - odrzekła markiza. - Kobiety tego pokroju zawsze kłamią. Nikt, ale to nikt już im nie wierzy oprócz pana premiera. Ich łzawe opowieści są obmyślane specjalnie, żeby wzruszać miękkie serca.

Księżcia zdumiała ostra nuta, pobrzmiwająca w głosie ciotki. Te wielkie damy były skłonne udzielać pomocy biednym, ale tylko wówczas, gdy nie dotyczyło to ich bezpośrednio.

Jednocześnie rozumiał, jak wielkim ciosem była dla markizy wiadomość, że jej brat ożenił się z kobietą, której zawód wywoływał zgrozę wśród członków rodziny.

- Ośmielam się zasugerować ci, ciociu Muriel - powiedział - żebyś spotkała się z tą osobą i doradziła mi, co mam robić. - Ujrzawszy wyraz oczu markizy, dodał: - Posłałem oczywiście do Arrana do Londynu list, żeby się dyskretnie dowiedział czegoś o dziewczynie o nazwisku Katie King, a także żeby przejrzał księgi metrykalne w katedrze w Southwark.

- Powiadasz, że brali ślub w katedrze w Southwark? - zapytała markiza.

- To jest napisane na świadectwie ślubu - rzekł ksiązę. - Popatrz zresztą sama.

I wręczył markizie świadectwo. Obejrzawszy je markiza rzekła:

- Ten „dokument” przekonuje mnie najdowodniej, że cała ta historia jest nieprawdziwa.

- Czemu?

- Ponieważ twój stryj był w ciągłej wojnie z duchowieństwem, a już w szczególności z biskupem Southwarku. - Markiza zastanowiła się przez chwilę, a potem mówiła dalej: - Było to może osiem, a może dziesięć lat temu, gdy do królowej dotarły niepokojące doniesienia na temat prowadzenia się twojego stryja, opublikowane w brukowej prasie. - Markiza westchnęła, a potem kontynuowała opowieść: - Nie wiem, kto zwrócił uwagę jej królewskiej mości na tę notatkę. Rozmawiała o tym ze mną i mogłam jej powiedzieć, jak bardzo całą rodzinę martwi zachowanie Murdocha.

„Rozumiem, że nic nie może pani uczynić, żeby przeciwdziałać unurzaniu znakomitego nazwiska w błocie, a jednocześnie rzucaniu cienia na moralność wszystkich dobrze urodzonych” - rzekła królowa. „Przykro mi, ale nic nie mogę na to poradzić, wasza królewska mość - odrzekłam. - Mój brat nikogo nie chce słuchać”.

„Wprawdzie nie mogę ręczyć za rezultat, ale musimy spróbować - odezwała się królowa. - Powiem o tym wielebnemu Goodwinowi, biskupowi Southwarku. Może uda mu się przemówić do rozumu pani brata”.

Markiza umilkła.

- I co się stało? - zapytał książę.

- Biskup, który był mężem bardzo świątobliwym, ale nie znającym wielkiego świata, odwiedził twojego stryja i - jak sądzę - czynił mu wymówki.

Książę uśmiechnął się w przewidywaniu końca całej tej historii.

- Ma się rozumieć - kończyła markiza - twój stryj rozzłościł się na niego, powiedział mu, gdzie ma jego rady, i właściwie wyrzucił z domu.

- W takim razie - powiedział ksiązę po krótkiej przerwie - sądzisz, że to niemożliwe, żeby biskup Southwarku udzielił ślubu stryjowi Murdochowi?

- Byłby ostatnią osobą, do której twój stryj zwróciłby się w podobnej sprawie - rzekła. - Jestem pewna, że i sam biskup odrzuciłby podobną propozycję.

- Rozumiem - rzekł ksiązę.

- Świadectwo wprawdzie wydaje się być prawdziwe - zauważyła markiza - lecz jeśli udaje się fałszować pieniądze, to czemu ktoś nie miałby sfalszować świadectwa ślubu?

- Te wszystkie wątpliwości wyjaśni Arran, któremu poleciłem zatrudnić detektywów - oświadczył ksiązę. - Ale co tymczasem pocniemy z panną King?

- Myślę - powiedziała markiza po dłuższej chwili - że będę musiała zobaczyć się z nią. Powiem ci tylko jedno, Justynie: jestem przerażona jej bezczelnością. Wydaje mi się, że zrobimy mądrzej, złożywszy całą sprawę w ręce adwokatów.

- W obecnej sytuacji - odrzekł ksiązę - najlepiej będzie, jeśli o tym wszystkim dowie się jak najmniej osób. Gdyby cała sprawa trafiła do gazet, dopiero mielibyśmy kłopot.

- To prawda - zgodziła się markiza. - Nikt z nas nie pragnie rozgłosu i publicznego prania rodzinnych brudów.

- Dlatego uważam, że powinniśmy zachowywać się poprawnie wobec panny Katie King. Gdy tylko Arran otrzyma mój list, natychmiast rozpocznie poszukiwania. A tymczasem musimy zaakceptować pannę King jako księżnę Tregaron, która nie chce ujawniać swojej pozycji.

Markiza wydała okrzyk zgrozy.

- Nie mogę jej zaakceptować! Nigdy! Nigdy! Mój ojciec przewróciłby się w grobie!

- Musimy jednak liczyć się z faktami - powiedział książę.
- Dowody, które przywiozła ze sobą panna King, są bardzo przekonujące.

- Gdzie jest ta kreatura? - zapytała lodowatym tonem markiza.

- Nie mam pojęcia - odrzekł książę. - Rano byłem na przejażdżce, a po śniadaniu przyszedłem do ciebie.

- A więc poślij po nią - rzekła. - Spotkamy się w saloniku.

- Dobrze, ciociu Muriel - rzekł książę wstając. - Poślę po nią służącego.

Wyszedł z buduaru ciotki, a ona przyłożyła ręce do czoła, jakby chcąc w ten sposób ukoić rozstrojone nerwy.

Laurencja przebudziwszy się w przepięknej sypialni, jakiej nigdy dotąd nie widziała, poczuła się tak, jakby znalazła się w krainie czarów. Leżała przyglądając się wspaniałym meblom, obrazom, a w szczególności ozdobom przepyszego łoża. Potem wstała i podeszła do okna. Ubiegłego wieczora, kiedy ujrzała zamek po raz pierwszy, była zbyt zdenerwowana, by przyjrzeć mu się dokładniej. Zauważyła tylko, że jest ogromny, a przy tym niezwykle piękny.

Ponieważ przybyła późnym wieczorem, zamkowe wieże skąpane w blasku księżyca wyglądały niczym posrebrzane. Łukowe okna sprawiły, że odniosła wrażenie, iż znajduje się w tajemniczej krainie z bajki. Ojciec opowiadał jej wielokrotnie, że większość warownych zamków została zbudowana w średniowieczu dla obrony przed najazdami Walińczyków.

Obecny zamek Garonów został zbudowany w czternastym wieku przez Edwarda II i cieszył się sławą najwspanialszej budowli obronnej średniowiecza. Wnętrza na przestrzeni wieków podlegały licznym zmianom i przeróbkom, jednak z

zewnątrz zamek prezentował się tak jak dawniej, kiedy stanowił postrach nieprzyjaciół.

Laurencji zdawało się, jakby znalazła się nagle w zamku Camelot. Kiedy ojciec pracował nad legendami o królu Arturze, przeczytała wiele książek i manuskryptów poświęconych temu legendarnemu władcy. Żeby sprawić ojcu przyjemność, przebrnęła przez „Historię Brytów” Nenniusza, napisany po łacinie manuskrypt z dziewiątego wieku. Zapoznała się także z „Kambryjskimi Annałami” i była zachwycona, jak wiele wspaniałych wątków przeniósł lord Tennyson do swoich „Królewskich sielanek”.

Dla niej król Artur i Rycerze Okrągłego Stołu byli postaciami realnymi. Nie wątpiła nigdy w prawdziwość ich czynów i ich szlachetnych poszukiwań rycerskiego ideału.

Gdy znalazła się już w zamku i została przedstawiona księciu, wszystkie jej obawy koncentrowały się na tym, żeby nie odejść z kwitkiem. Sama myśl o tym, że Garonowie mogliby ją odesłać do Londynu z pustymi rękami, wprawiała ją w przerażenie. Bardzo się obawiała rozmowy z księciem i nie była w stanie myśleć o niczym innym prócz tego spotkania.

Lecz tego ranka mogła bez przeszkód oddawać się marzeniom, że oto znalazła się w bajkowym zamku i z jego okien podziwiać baśniowy świat. Zamek stał na wzgórzu, u podnóża którego rozlewało się jezioro, a na horyzoncie na tle błękitnego nieba sterczały wierzchołki gór.

Był to widok piękny i tajemniczy. Wróciła więc znów do marzeń o rycerzach w błyszczących zbrojach, idących do walki na śmierć i życie z imieniem Boga i króla na ustach. Wciąż jeszcze stała przy oknie, kiedy rozległo się pukanie i do pokoju weszła służąca.

- Wcześniej pani dzisiaj wstała - powiedziała do Laurencji.

- Widok z okna jest taki piękny... nigdy jeszcze nie widziałam podobnego zamku.

- I nie znajdzie pani piękniejszego - powiedziała służąca.

- Chyba tak - odrzekła Laurencja. - Mam nadzieję, że będę mogła go obejrzeć.

- Wszyscy nasi goście marzą o tym, więc gdyby jego wysokość nie miał na to czasu, pan Webster, tutejszy zarządca, mógłby opowiedzieć pani historię zamku i oprowadzić po wszystkich komnatach.

Służąca mówiła o zamku tonem pełnym entuzjazmu.

- Widzę, że kochasz to miejsce - rzekła Laurencja.

- Mieszkam tu od dzieciństwa, mój ojciec i dziadek także służyli u Garonów.

Laurencja pomyślała, że musi wszystko dokładnie zobaczyć zanim wróci do Londynu. Ubrała się w pośpiechu, gdyż powiedziano jej, że śniadanie zostanie podane na dole, dokąd zaprowadził ją lokaj. Czuła się onieśmielona na myśl, że być może przyjdzie jej spożywać posiłek w towarzystwie księcia, ale na szczęście nie było go. Oczekiwał na nią tylko kamerdyner i lokaj podający do stołu. Kiedy skończyła śniadanie, zapytała, czy może obejrzeć zamek.

- Jego książęca mość jest w tej chwili na konnej przejażdżce - objaśnił kamerdyner. - Jestem pewien, że pan Webster z przyjemnością pokaże pani zamek, więc nie będzie się pani nudzić do powrotu jego wysokości.

Pan Webster okazał się starszym już mężczyzną o siwych włosach, posiadającym tak ogromną historyczną wiedzę, że Laurencja z trudem powstrzymała się, żeby mu nie powiedzieć, kim jest w istocie. Była przekonana, że słyszał o jej ojcu. Obeszła w jego towarzystwie wszystkie zamkowe komnaty, a kiedy znalazła się w warownej wieży, w której chronili się wieśniacy wraz ze swoim dobytkiem, pomyślała jak by to było miło, gdyby ojciec mógł być tu razem z nią.

Wiedziała, jak wielką radość by mu sprawiło oglądanie starożytnej kaplicy, zniszczonej w XVII wieku i przywróconej do stanu z roku 1350. Zwiedziła też zbrojownię. Pomyślała, że ojciec byłby zachwycony, mogąc obejrzeć galerię portretów rodziny Garonów, na których mężczyźni zostali przedstawieni w błyszczących zbrojach i na tle bitewnych krajobrazów.

Wszystko to było tak zajmujące, że Laurencja niemal zapomniała, po co właściwie przybyła do zamku i za kogo się podawała, kiedy podszedł do niej lokaj i powiedział:

- Jego książęca mość prosi, żeby zechciała pani się z nim spotkać w małym saloniku. Zaprowadzę tam panią.

Wezwanie to było niczym zimny prysznic, który ze świata marzeń przeniósł ją na powrót do rzeczywistości.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała do zarządcy. - To było niezwykle przeżycie. Jestem panu niezmiernie wdzięczna.

- To była dla mnie wielka przyjemność - odrzekł pan Webster. - Nie muszę pani tłumaczyć, że wiele jeszcze pozostało do obejrzenia.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję się spotkać - powiedziała.

Ponieważ nie chciała, żeby książę na nią czekał, pośpieszyła za lokajem w stronę głównego wejścia. Służący otworzył przed nią drzwi saloniku, a gdy tam weszła, doznała uczucia ulgi, że księcia jeszcze nie było. Ściany saloniku - z licznymi zawieszonymi na nich rodzinnymi portretami - pokryte były jedwabną boazerią, natomiast sufit zdobiły herby i znaki heraldyczne.

Laurencja była zbyt zdenerwowana, żeby usiąść. Nagle ujrzała na stoliku pod oknem kilka książek i przekonała się, że jedna z nich to świeżo wydany tomik poezji Alfreda Tennysona, zatytułowany „Święty Graal i inne wiersze”. Bardzo chciała go przeczytać, więc wzięła go do ręki i

otworzyła. Kartkując stronice, przeniosła się do świata, w którym przebywał jej ojciec i który dla nich obojga stanowił zamek Camelot.

Właśnie czytała:

Gdy go ujrzała na wielkim morzu

W srebrzystej zbroi, lśniącej niby gwiazdy... kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł książę. Ponieważ wciąż miała przed oczami widoki pokazane przez starego zarządcę, a także opisane w strofach czytanych wierszy, wydało jej się przez moment, jakby ramiona księcia okrywała srebrzysta zbroja. Jawił jej się nie jako współczesny mężczyzna, lecz jeden z Rycerzy Okrągłego Stołu, którzy poprzysięgli walkę ze złem i wspomaganie dobra.

Przez chwilę jeszcze nie mogła wrócić do rzeczywistości i tylko wpatrywała się w księcia, ściskając książkę w dłoni. Światło słoneczne przenikające przez szyby opromieniało jej złote włosy. Książę olśniony tym widokiem zatrzymał się w drzwiach i tak patrzyli na siebie z daleka, nie mogąc oczu od siebie oderwać. Nie zdawali sobie sprawy z upływu czasu. W końcu książę postąpił naprzód i czar prysł. Laurencja z uczuciem, że zrobiła coś, czego robić nie powinna, odłożyła książkę na stolik. Książę podszedł do niej i powiedział:

- Widzę, że czytała pani najnowsze wiersze Tennysona. Czy podobają się pani?

- Tak... wasza wysokość.

- Czy czytała pani może jego inne utwory?

- Oczywiście! Przecież „Królewskie sielanki” zostały oparte na tym, co mój ojciec...

Przerwała nagle i uświadomiła sobie, że jest przecież Katie King.

- Wspomniała pani o swoim ojcu - zauważył książę.

- Tak... ale to nic ważnego.

- Jeśli dotyczy króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu, to bardzo mnie interesuje.

- Czemu?

- Bo przebywając tu na zamku zawsze odnoszę wrażenie, jakby otaczały mnie podania i legendy związane z królem Arturem. W odróżnieniu od opinii wielu uczonych, jestem przekonany, że król Artur istniał naprawdę.

Laurencja klasnęła w dłonie.

- Ależ to oczywiste, że istniał naprawdę! - zawołała. - Jak ktokolwiek może w ogóle w to wątpić! Przecież w tylu kronikach zostały opisane dokładnie jego zwycięskie bitwy. Jak można nie wierzyć doniesieniom wczesnej literatury walijskiej, która przedstawia go jak króla cudów i baśni?

Dopiero kiedy skończyła mówić, powtarzając argumenty używane przez ojca i jego kolegów, uświadomiła sobie, że książę patrzy na nią ze zdumieniem.

- Skąd pani to wszystko wie? - zapytał. - A może opowiadał pani o tym pan Webster podczas zwiedzania zamku?

- Prawdę powiedziawszy, nie rozmawialiśmy w ogóle o królu Arturze - odrzekła - lecz ja już od dzieciństwa wiele o nim czytałam.

- Co mianowicie? - zainteresował się książę. Znów bez zastanowienia, ponieważ przedmiot był jej dobrze znany, Laurencja odrzekła:

- Oczywiście „Mirabilia”, a także „Historia regum Britanniae” Monmotha.

Spojrzała na księcia, a zdumienie w jego twarzy było aż obraźliwe. Nie widziała jednak powodu, żeby ona sama czy też Katie King miały być ignorantkami w zakresie historii.

Laurencja знаła bardzo niewiele dziewcząt w swoim wieku i nie zdawała sobie sprawy, że tylko ona będąc córką swojego ojca była tak dobrze zaznajomiona z historią

średniowieczną, a nawet z rękopisami dostępnymi tylko wąskiemu kręgowi uczonych.

Historia fascynowała ją, a czytanie starożytnych pism było dla niej równie łatwe jak dla jej rówieśników czytanie bajek. Jednak księcia już sam widok dziewczyny wprowadził w osłupienie, a jej słowa sprawiły, że kompletnie oniemiał.

„Ja chyba śnię” - pomyślał.

Dostrzegł, że Laurencja dzisiejsza jeszcze bardziej niż wczorajsza stanowiła uosobienie bogini Diany. Wydawało mu się, że zstąpiła z ram obrazu - a właściwie z Olimpu - i stała przed nim w ludzkiej postaci, a jednak w aurze boskości.

Dokładając starań, by jego głos brzmiał normalnie, powiedział:

- Jeśli tak bardzo interesują panią poezje Tennysona, panno King, niech pani przyjmie ode mnie tę książeczkę.

- Czy rzeczywiście mogę ją wziąć? - zapytała Laurencja. - Jak to miło z pana strony! Bardzo chciałam przeczytać te wiersze.

Z tonu jej głosu książę domyślił się, że nie było jej stać na kupno książki. Zastanawiał się, czemu nie poprosiła o nią któregoś ze swoich licznych wielbicieli. Po chwili, gdy Laurencja znów zatoneła w lekturze, drzwi otworzyły się i weszła markiza.

- Jak to dobrze, że jesteś, ciociu Muriel! - zawołał książę. - Pozwól, że ci przedstawię pannę King, która jak ci wiadomo przybyła wczorajszego wieczora.

Laurencja ukłoniła się, a gdy spojrzała na markizę, domyśliła się z przestrawieniem, że ma przed sobą osobę, która nią pogardza. Czegoś takiego się nie spodziewała. Znów poczuła się niepewnie - jak wówczas, kiedy przestąpiła po raz pierwszy progi zamku. Pomyślała, że musi bardzo uważać, żeby nie popełnić jakiegokolwiek omyłki.

Markiza nic nie mówiła, przyglądała się tylko Laurencji, jakby chciała ją tym przestraszyć. W końcu książę odezwał się:

- Może byśmy usiedli przy kominku? Dzień jest wietrzny, mimo że słońce mocno grzeje.

Markiza bez słowa skierowała się w stronę kominka, za nią podążył książę, a za nimi Laurencja. Kiedy dziewczyna usiadła, wyczuła, że atmosfera zmieniła się. Zachowanie markizy, wyraz jej oczu uświadomiły Laurencji, że czeka ją seria pytań, które nie będą dla niej przyjemne.

- Jak się pani naprawdę nazywa?

Markiza rzuciła niespodziewane pytanie, a Laurencja odpowiedziała bez zastanowienia:

- Laurencja.

Już po fakcie uświadomiła sobie, co powiedziała i dodała szybko:

- Na scenie występuję jednak jako Katie King.

- Czy King to pani nazwisko?

- Tak.

- Więc pani sądzi, że „Katie King” brzmi lepiej?

Sposób, w jaki markiza wymawiała te słowa sprawił, że zabrzmiały śmiesznie, więc Laurencja skinęła tylko głową.

- Jego książęca mość powiedział mi, że twierdzi pani, iż poślubiła mojego zmarłego brata, księcia Tregaron?

- Tak, to prawda.

- Przywiozła pani ze sobą list oraz świadectwo ślubu. Czy nie ma pani innych dowodów świadczących o tym, że to małżeństwo zostało w istocie zawarte?

- Nie rozumiem, jakie inne dowody ma pani na myśli? - zapytała Laurencja.

- Zanim dwoje ludzi pobierze się - rzekła markiza ostro - zazwyczaj krąży pomiędzy nimi wiele listów, które mogą stanowić dowód ich związku.

Zapanowało milczenie, zanim Laurencja odezwała się:

- Myślę, że przywiozłam wszystko, czego mogłaby pani sobie życzyć.

- A zatem w domu ma pani jeszcze jakieś dokumenty? Gdzie to jest? Proszę nam podać swój adres.

Harry Carrington przewidział, że może być o to pytana, więc doradził jej, jak się ma zachować.

- Musi pani być bardzo ostrożna - powiedział. - Oni mogą zasięgać języka w pani domu lub w domu Katie. Niech im więc pani powie, że przenosi się pani z miejsca na miejsce, często korzystając z gościny przyjaciół, i że obecnie nie ma pani stałego miejsca zamieszkania.

Dokładnie słowo po słowie powtórzyła, czego ją nauczono. Miała nadzieję, że księżę i jego ciotka pomyślą, że przenosi się tak ze względu na chorobę i brak pieniędzy, trafiając do coraz tańszych lokali, aż w końcu po śmierci księcia przyjeżdża do nich, bo nie ma już gdzie się podziać.

Potem przypomniała sobie, że wspomniała im przecież, iż opiekuje się chorą osobą, lecz zanim markiza zdążyła zadać następne pytanie księżę rzekł:

- Poprzedniego wieczora powiedziała pani, że musi szybko wracać do Londynu, gdyż dogląda pani chorego. Nie wspomniała pani jednak, kim on jest.

Ledwo się powstrzymała, żeby się nie przyznać, że to jej ojciec. Przecież mówiła, że rodzice Katie King już nie żyją.

- To mój wuj - powiedziała. - Jest samotny, więc pomagam mu prowadzić gospodarstwo. Teraz choruje, więc muszę się nim opiekować.

- Rozumiem - odezwał się księżę.

- Co robi pani wuj? - zapytała markiza.

- Jest pisarzem.

Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Markiza z wyrazem przerażenia na twarzy zadała kolejne pytanie:

- Czy pani wuj jest może dziennikarzem?

- Nie, on pisze książki.

Domyśliła się, że markiza obawia się, żeby informacja o potajemnym ślubie nie ukazała się przypadkiem w gazetach.

„Oni są też przestraszeni, podobnie jak ja” - pomyślała Laurencja czując, że cała sytuacja mogłaby wydać się nawet zabawna, gdyby nie paraliżujące ją zdenerwowanie, że może popełnić jakiś błąd.

- Jakiego rodzaju książki?

Znów najłatwiej było powiedzieć prawdę.

- Mój wuj jest... historykiem.

- A więc to dlatego zna pani tak dobrze historię średniowieczną! - odezwał się książę. - I przybyła pani do miejsca, w którym tę wiedzę może pani jeszcze pogłębić.

Markiza spojrzała na księcia z wyrzutem, co uświadomiło Laurencji, że uważa ona, że książę jest wobec gościa zbyt uprzejmy, a ponadto, że zmienia temat rozmowy.

- Książę powiedział mi, panno King - rzekła - że domaga się pani pięciu tysięcy funtów w zamian za utrzymanie w tajemnicy małżeństwa z moim bratem. Jest jedno tylko określenie na taki czyn. To szantaż!

Choć Laurencja musiała zgodzić się z tym stwierdzeniem, jednak ton głosu markizy wydał jej się obraźliwy i znieważający. Pomyślała, że Katie King dotrzymała przecież danego słowa, więc odrzekła niemal ze złością:

- Nie próbowałam szantażować jego książęcej mości, kiedy mnie porzucił, i nie zamierzam szantażować ani pani, ani nikogo innego. Proszę tylko o pieniądze, które były mi obiecane. Jednak ze względu na dług ciąży na mnie byłoby mi wygodniej otrzymać je natychmiast, a nie w miesięcznych ratach.

- Najpierw musimy ustalić, czy ten „dług” rzeczywiście istnieje, a także, czy ślub w istocie miał miejsce.

- Czemu pani w to wątpi? - zapytała Laurencja. - Przecież przywiozłam ze sobą świadectwo ślubu.

Chciała mówić stanowczo, lecz jej głos brzmiał słabo i lękliwie.

- Musi pani zrozumieć, panno King - wtrącił ksiązę - że nie tylko mamy prawo zadawać pani pytania, lecz musimy przekonać się, że zmarły ksiązę istotnie poślubił panią w tak niezwykłych okolicznościach.

- Jego intencje zostały bardzo wyraźnie przedstawione w liście - rzekła.

- List bardzo łatwo podrobić - zauważyła markiza.

Te słowa zdumiały Laurencję. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że list może być sfalszowany. Papier, na którym go napisano, był zupełnie zwyczajny. Nie był oznaczony żadnymi herbami ani insygniami, jak można się było spodziewać. Zwiedzając zamek Tregaron spostrzegła, że Garonowie byli dumni ze swoich znaków herbowych. Prawie na każdym portrecie widniała tarcza herbowa, tak samo na kominkach, sufitach, nagrobkach w pałacowej kaplicy.

Wydało jej się dziwne, że ksiązę pisał do Katie na zwykłym papierze, a papier ten, choć dobrej jakości, nie był ani pogięty, ani ubrudzony. Gdyby nawet Katie przechowywała go przez sześć lat bardzo starannie, nie mógłby być w tak dobrym stanie.

Myśli kłębiły jej się w głowie, wreszcie pomyślała, że nawet gdyby markiza miała zastrzeżenia co do autentyczności listu, to świadectwo ślubu, jak ją przekonywał Harry Carrington, jest wpisane do rejestru ślubów w katedrze w Southwark.

- Jeśli wielmożna pani ma jakieś wątpliwości - powiedziała szybko - można to przecież sprawdzić w katedralnych księgach.

- Zastanawia mnie też co innego - odezwała się markiza. - Wydaje mi się dziwne, że zgodziła się pani zachować poślubienie księcia w tajemnicy. Przecież musiała być pani dumna z tego, że osoba nic nie znacząca stała się nagle księżną.

- Postąpiłam tak dlatego, że jego książęca wysokość prosił mnie o to - wyjaśniła Laurencja.

Książę pomyślał, że zyskała nie tyle przez to, co mówiła, ale przez sposób, w jaki przedstawiała swoje racje. Markiza spojrzała na księcia, jakby szukając u niego pomocy.

- Uważam, panno King - powiedział książę po chwili milczenia - że będzie najlepiej, jeśli zaczeka pani do chwili wyjaśnienia zasadności pani żądań. Będziemy także mogli porozmawiać na temat pani przyszłości.

Dostrzegł w jej oczach przerażenie.

- Więc pan uważa, że powinnam tu zaczekać do chwili, aż pan sprawdzi w katedrze w Southwark i gdzie indziej rzetelność moich słów?

- Chyba są jacyś ludzie, którzy widywali was razem i którzy domyślali się waszego związku?

- Nie mogę czekać tak długo! - zawołała Laurencja. - Muszę wrócić do Londynu, do mojego wuja! Upłynie wiele dni, a może nawet tygodni, zanim sprawdzi pan wszystko, co pana interesuje, a on tam może umrzeć beze mnie!

- Jeśli jest w istocie tak bardzo chory - zauważył książę - to jak mogła pani zostawić go samego?

- Nie został bez opieki - wyjaśniła Laurencja - ale muszę wracać jak najszybciej. Jeśli nie może mi pan dać od razu wszystkich pieniędzy, proszę przynajmniej dać mi tyle, żebym mogła spłacić dług.

- Jeśli pani żądania są uzasadnione, panno King, otrzyma pani pięć tysięcy funtów, których się pani domaga, i w zależności od tego, co postanowią prawnicy, będzie pani

otrzymywała co miesiąc pewną sumę. Lecz zanim nie zgromadzimy większej ilości dokumentów oprócz tych, które pani ze sobą przywiozła, nie pozostaje nam nic innego jak tylko czekać.

- Ale już panu mówiłam, że to niemożliwe! - powiedziała Laurencja. - Proszę mi w takim razie dać mniejszą sumę, ale zaraz. To dla pana drobnostka, a jak wiele to dla mnie znaczy, nie mogę wprost wyrazić!

Mówiąc to ujrzała oczami wyobraźni chciwe oczy Izaaka Levy'ego. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie zwróci mu pożyczki razem z procentem, będzie to miało dla niej bardzo poważne konsekwencje - bała się o tym nawet pomyśleć.

Levy mógłby przecież wyrzucić jakąś krzywdę ojcu. Mógłby zabrać im wszystko co posiadali.

Laurencja mieszkając wśród biednych ludzi wiedziała, jak nieludzko są traktowani przez właścicieli domów, a nawet przez sąsiadów, jeśli są im coś winni. Ludzi tych bije się, a czasem morduje z powodu niewielkiej nawet sumy, której nie są w stanie oddać. Była pewna, że lichwiarz nie cofnie się przed żadną podłością, żeby tylko odzyskać swoje pieniądze.

- Proszę mi dopomóc - błagała. - Przysięgam na wszystkie świętości, że nie sprawię panu żadnego kłopotu, że nie uczynię niczego, czego by sobie pan nie życzył.

Książe wstał z miejsca.

- Myślę, ciociu Muriel - powiedział - że nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli będziemy kontynuować tę rozmowę. Jesteśmy obydwój podenerwowani wiadomościami, które spadły na nas tak niespodzianie. Sądzę, że później możemy jeszcze raz porozmawiać spokojnie i znaleźć rozwiązanie zadowalające nas wszystkich.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Justynie, że nie mamy już o czym więcej dyskutować - odezwała się markiza. - Panna King może mieć swoje racje, żeby się spieszyć z

uzyskaniem pieniędzy. To zrozumiałe. Ale my mamy obowiązek bronić się przed oszustwem i szantażem. Przerwijmy więc do południa tę rozmowę, bo czuję się bardzo poruszona tym, czego się dowiedziałam.

Markiza wstała i nie patrząc na Laurencję odwróciła się i dostojnym krokiem skierowała ku drzwiom. Książę otworzył je przed nią, a gdy je za nią zamknął, zauważył, że Laurencja także podniosła się z krzesła i stała patrząc na niego z tak dramatycznym wyrazem w oczach, że aż go to zastanowiło. W wyrazie jej twarzy była bezsilność, której nie mógł nie dostrzec.

Uderzyło go, że ma przed sobą nie sprytną tancerkę z kabaretu, lecz młodziutką, wrażliwą, niedoświadczoną osobkę, która zupełnie sobie nie radzi z sytuacją, w której się znalazła.

Po chwili pomyślał, że zachowuje się śmiesznie, okazując jej tyle współczucia. To przecież aktorka, więc potrafi znakomicie grać! Kiedy podszedł bliżej, spojrzała na niego i powiedziała przejmującym szeptem:

- Niech mi pan pomoże, bo inaczej nie wiem, co ze sobą zrobię!

ROZDZIAŁ 5

Laurencja siedziała na nasłonecznionym stoku poniżej baszty. Słońce przygrzewało mocno, więc zdjęła szal i kapelusz. Na jej kolanach leżał tomik poezji Tennysona „Święty Graal”. Czytała powoli strofę po strofie czując, że każda z nich zawiera jakieś przesłanie, którego sensu na razie nie chwyciła.

Czytane słowa tworzyły w jej umyśle obrazy, łącząc się z pięknem i tajemniczą atmosferą zamku, która ją zewsząd otaczała. Zapomniała o swych kłopotach i całą duszą zagłębiła się w odległych czasach i wydarzeniach. Rycerze króla Artura wyruszyli na wędrowkę, aby ratować kobiety, którym zagrażało zło, upostaciowione przez smoka lub potężnego czarownika.

„Przydałby mi się ktoś taki, żeby mnie wyratować” - pomyślała i ujrzała księcia, idącego ku niej po zielonej łące.

Kiedy podczas porannej rozmowy zwróciła się do niego z prośbą o pomoc, czuła, że wbrew rozsądkowi księżę chce jej dopomóc. Przemknęło jej teraz przez myśl, że da jej pieniądze i pozwoli wrócić do Londynu. Ale on powiedział:

- Chciałbym zastanowić się nad tym, co mi pani mówiła. Porozmawiamy o tym później. Rozumiem pani pośpiech, ale muszę brać pod uwagę dobro mojej rodziny.

- Tak, rozumiem.

Wiedziała, że mówił rozsądnie, ale była rozczarowana. Obiad jadła samotnie, ponieważ markiza odmówiła wszelkiego z nią kontaktu. Tłumaczyła sobie, że powinna była się tego spodziewać. Jak mogła przypuszczać, że starsza kobieta odniesie się do niej przyjaźnie z uwagi na młodość i niedoświadczenie Katie King.

Wracając do przeszłości Laurencja uświadomiła sobie, jak bardzo rodzina jej matki czuła się rozczarowana, kiedy matka oświadczyła im, że zamierza poślubić niezamożnego

uczonego, nie posiadającego nic oprócz naukowego tytułu, który w ich oczach niewiele znaczył. Choć rodziny matki nie można nawet porównać z Garonami, jednak byli szlachtą, zakorzenioną od wieków w rodzinnym majątku.

Laurencja przypomniła sobie swojego dziadka: autokratycznego dżentelmena, wydającego rozkazy dzieciom i służbie takim tonem, jakby komenderował regimentem wojska. Dwaj bracia matki przebywali obecnie w Indiach służąc krajowi, podobnie jak wcześniej ich ojciec. Laurencja od ponad siedmiu lat nie widziała żadnego z nich.

Po śmierci dziadka większa część majątku została sprzedana, a uzyskane pieniądze podzielone między synów. Matka Laurencji otrzymała bardzo niewielką sumkę, która została złożona w banku na imię Laurencji, gdy ta dojdzie do pełnoletności. Ten kapitałik przynosił rocznie około stu funtów. Za tę sumę musieli się obydwój z ojcem utrzymać, ponieważ opublikowane książki nie znajdowały nabywców, a wydawcy nie kwapili się z zamawianiem nowych.

Laurencja wiedziała, że nie ma sensu zwracać się do adwokatów ojca, żeby wypłacali jej więcej niż dotychczas. Odpowiedzieliby, że musi być pełnoletnia, żeby naruszyć kapitał. Zanim Harry Carrington zaproponował jej, by udawała Katie King w celu zdobycia pieniędzy na operację dla ojca, zastanawiała się, gdzie mogłaby się udać na wypadek śmierci ojca.

Miała wprawdzie licznych kuzynów, mieszkających w północnej Anglii, ale matka mówiła jej, że są to ludzie niezamożni, więc z pewnością odmówiliby jej pomocy. Pomyślała więc, że musi znaleźć jakieś zajęcie, ale nie wiedziała, co mogłaby robić nie mając żadnych kwalifikacji - poza tym, że zajmowała się domem.

Styl życia, jaki prowadził księżę, stanowił dla niej rewelację. Otaczający go wykwiłt uświadomił jej, że suma,

jakiej potrzebowała dla ratowania życia ojca i Katie King, stanowiła kroplę w morzu jego wydatków. Na śniadanie przyniesiono jej sześć różnych półmisek z jedzeniem. Na bocznym stoliku Laurencja znalazła owoce z oranżerii oraz kawę, które stanowiły dla niej luksus. Obiad składał się z tylu dań, że nie sposób było wszystkiego skosztować. Gdy lokaje wynieśli srebrne półmiski, raz jeszcze pomyślała, jak niewiele znaczy dla księcia suma ośmiuset funtów. Mógłby je dać jej bez zmruczenia oka i pozwolić jej odejść.

Skończywszy posiłek szła długimi korytarzami, przypatrując się bezcennym malowidłom, przepięknym meblom, barwnym marmurom. Kontrast pomiędzy jej życiem, w którym musiała się liczyć z każdym wydanym pensum, a tym życiem był ogromny. Spacerując w słońcu modliła się, żeby książę okazał litość i żeby ją uwolnił od strachu przed Izaakiem Levym.

Kiedy otworzyła tomik poezji Tennysona, zapomniała o całym świecie pochłonięta muzyką jego wierszy.

Miłość da ci odpowiedź

Na każde twoje pytanie...

Wypowiedziała te słowa głośno, jakby w oczekiwaniu, że książę przyniesie jej odpowiedź.

Nagle - oślepiąca słonecznym blaskiem - ujrzała go nadchodzącego, jakby był „przyodziany w srebrzystą zbroję, lśniącą niby gwiazdy"... Książę podszedł całkiem blisko, spojrzał na jej włosy, połyskujące na tle szarych murów baszty, i powiedział:

- Coś mi mówiło, że panią tutaj spotkam.

- Wydawało mi się, że to odpowiednie miejsce do czytania książki, którą mi pan pożyczył.

- Dlatego właśnie kupiłem tę książkę, że tak pasowała do tego otoczenia.

Laurencja uświadomiła sobie, że ona siedzi, a księżę stoi. Uczyniła ruch, jakby chciała wstać, lecz on usiadł na trawie obok niej. Czowała, że chce jej coś powiedzieć, wpatrywała się w jego twarz myśląc zarazem, jak wyraziste ma rysy i jak bardzo są one podobne do rysów osób, przedstawionych na setkach zamkowych portretów.

- Dowiedziałam się, że to Justyn Garon zbudował ten zamek - powiedziała. - Czy nie odnosi pan czasem wrażenia, jakby wciąż tu był obecny?

Nie wiedziała, skąd jej przyszło do głowy to pytanie. Księżę spojrział na nią i po chwili wahania odpowiedział:

- Nie da się wypowiedzieć słowami tego, co czuję wobec mojego przodka Justyna Garona. Jedno jest pewne, że zawsze bardzo wyraźnie wyczuwam atmosferę, jaką po sobie zostawił.

- Ja czuję to samo - powiedziała Laurencja. - Wydaje mi się, że pańscy przodkowie byli ludźmi szlachetnymi, ponieważ nigdzie nie wyczuwam zła ani czegoś podobnego.

Księcia nie zdziwiła jej wypowiedź.

- Czy zawsze potrafi pani wyczuć atmosferę domu tak wyraźnie jak teraz? - zapytał.

- Bardzo często - odrzekła.

Mówiąc to przypomniała sobie co czuła, kiedy wraz z ojcem zwiedzała Oxford, wraz z jego starymi murami przepełnionymi historią, a także kaplicę w Cambridge, będącą uosobieniem piękna i świętości.

Pewnego razu, gdy ojciec wygłaszał odczyt w British Museum, wydawało jej się, że eksponaty muzealne przemawiają do niej w sposób, który tylko ojciec był w stanie zrozumieć.

- Myślę, że pani musiała mieć celtyckich przodków - powiedział księżę ze śmiechem. - Celtowie, a w szczególności

Irlandczycy, Szkoci i Walijczycy, posiadają tak zwany szósty zmysł, którego zupełnie brak Anglikom.

- Mówi pan tak, jakby pan sam był Celtem.

- Moja matka była Irlandką - odpowiedział - a babka Walijką. Ich wrażliwość wciąż walczy we mnie ze zdrowym rozsądkiem moich angielskich przodków.

Laurencja roześmiała się.

- I kto wygrywa?

- W tej chwili - odrzekł książę - Celtowie są wyraźnie górą.

Przesiedzieli tak gawędząc chyba z pół godziny. Laurencja poprosiła księcia, żeby jej opowiedział jakieś rodzinne legendy. Zrobił to z wdziękiem i ze swadą, a przeszłość i jej mieszkańcy stanęli przed nią jak żywi ze swoimi ambicjami, wzlotami i upadkami, które jak jej się zdawało były także udziałem księcia.

Laurencja rozmawiała ze swobodą, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyła w obecności obcego człowieka. Nagle zauważyli oboje zbliżającego się ku nim służącego. Książę westchnął.

- Oczekuję wizyty jednego z sąsiadów - powiedział. - Muszę wracać do zamku. Mam jednak nadzieję, że zje pani dzisiaj ze mną kolację. - Spojrzała na niego zdumiona, a on dodał: - Przykro mi, że moja ciotka nie żywi wobec pani przyjaznych uczuć. Powiedziała mi niedawno, że wiadomość o potajemnym ślubie zmarłego brata tak ją wzburzyła, że pozostanie w swoim pokoju i nie będzie mi towarzyszyć przy posiłku.

Widząc, że książę czeka na odpowiedź, Laurencja odezwała się cichutko:

- Z przyjemnością zjem z panem kolację, jeśli uważa pan za rzecz właściwą, żeby mnie zaprosić.

- Będę bardzo rad - odrzekł. - Moglibyśmy kontynuować naszą ciekawą rozmowę, a także pogawędzić o pani przyszłości.

- Bardzo chętnie - odrzekła Laurencja.

Książę uśmiechnął się do niej i podążył za lokajem w stronę głównego wejścia do zamku.

Jeszcze raz przyszło Laurencji na myśl, że mógłby być rycerzem udającym się na wezwanie, aby stanąć do walki ze złem.

Wieczorem zakładając jedyną suknię wieczorową, jaką posiadała, pomyślała, jakby to było dobrze, gdyby nie musiała udawać kogoś innego, a mogła być sobą.

Nigdy jeszcze nie jadła kolacji w towarzystwie mężczyzny. Zastanawiała się, co by jej ojciec na to powiedział, gdyby wiedział, gdzie jest i co robi. Cały czas, nawet gdy rozmawiała o innych sprawach, modliła się o to, żeby jego operacja się udała i żeby jak najszybciej wracał do zdrowia.

Oczywiście profesor Braintree zastanawiał się, kto był tym dobroczyńcą, który umożliwił mu pobyt w klinice.

- Domyślam się tylko, papo - powiedziała Laurencja - że doktor Medwin musiał rozmawiać z wieloma osobami i jedna z nich, zapewne jakiś miłośnik historii średniowiecznej, zdobyła się na ten szlachetny gest.

- Ten ktoś okazał niezwykłą dobroć - oświadczył profesor. - Kiedy już wrócę do domu, będę musiał odnaleźć tego miłosiernego Samarytanina i jeśli to możliwe zwrócić zaciągnięty u niego dług.

Laurencja przemilczała, że nie będzie to chyba możliwe. Starła się ponadto, żeby ojciec nie dowiedział się, jak wysoki jest koszt operacji. Kiedy ją o to pytał, odpowiedziała, że doktor Medwin uzgodnił to z doktorem Sheldonem Curtisem bez jej wiedzy i że jedyne co się liczy w tej chwili to fakt, że

zostanie zoperowany przez najzdolniejszego ucznia Josepha Listera i najsłynniejszego chirurga w całym Londynie.

- Wiesz, że zawsze podziwiałem Listera - odezwał się profesor. - Myślę, że zasłużył sobie na opinię wielkiego człowieka naszych czasów.

- A ty, papo, będziesz jednym z tych ludzi, na których wypróbowano działanie jego metody zapobiegania zakażeniom pooperacyjnym.

Teraz, kiedy już się ubrała i spojrzała na siebie w lustrze, w pierwszej chwili nie dostrzegła własnego odbicia, lecz bladą i zboląłą twarz ojca. „Powinnam być przy nim” - pomyślała.

Zdecydowała, że pod koniec kolacji poprosi księcia, żeby dał jej pieniądze i pozwolił wrócić do Londynu. Ponieważ myśłami przebywała wciąż przy ojcu, nie zauważyła nawet, jak ładnie wygląda w białej, uszytej własnoręcznie sukience. Mimo iż wykonana z taniego materiału, suknia była doskonale dopasowana do figury i miała z tyłu niewielką turniurę skopiowaną z magazynów mód.

Wydatek kilku szylingów na materiał uważała za wielką ekstrawagancję, lecz nie miała po prostu w co się ubrać, a ojciec miał zwyczaj przebierać się do kolacji. Nie chciała, żeby widział ją w zniszczonej sukience, bo czułby się winny, że nie stać go na sprawienie jej ładniejszych strojów.

Uszycie tej sukni kosztowało ją wiele pracy. Suknia miała krój niemal klasyczny, a jej dopasowany stanik uwydatniał drobne piersi, szczupłość talii i krągłość bioder. Księżę, kiedy ją ujrzał idącą przez salon, uświadomił sobie jeszcze wyraźniej, że ma przed sobą ucieleśnioną Dianę.

Kiedy na niego spojrzała, nie mogła się powstrzymać od wydania cichego okrzyku. Widywała już ojca w wieczorowym stroju, a także słuchaczy jego wykładów ubranych bardzo starannie. Lecz wygląd księcia przeszedł jej wszelkie

oczekiwania. Już za dnia wyglądał imponująco, lecz w stroju wieczorowym jawił jej się jak postać z innego świata.

Podeszła do niego powoli, a gdy uśmiechnął się do niej, złożyła przed nim pełen wdzięku ukłon.

- Co pani robiła przez całe popołudnie? - zapytał.

Wydawało jej się, że zmuszał się do zwyczajnej rozmowy, podczas gdy jego oczy mówiły zupełnie co innego.

- Czytałam i rozmyślałam, wasza wysokość - odparła.

- Bardzo chciałem być razem z panią - rzekł - lecz, niestety, musiałem wysłuchiwać długich i nudnych wynurzeń na temat spraw lokalnych.

- Domyślam się, że ktoś prosił, by przedstawił pan skargi rolników w Izbie Lordów - odezwała się Laurencja.

- Zgadła pani - powiedział. - Nie sądziłem, że pani, mieszkanka miasta, orientuje się w wiejskich sprawach.

Laurencja nie bez wysiłku powstrzymywała się, żeby mu nie wyjawić, że gdy żyła jeszcze jej matka, nie mieszkali w Londynie, lecz w hrabstwie Hertford, gdzie w cichej wiosce mieli mały domek, będący dla ojca idealnym miejscem do pracy. Dopiero po śmierci żony ojciec przeniósł się do Londynu dla bliskości muzeów, bibliotek i uczelni, a także dlatego, że nie chciał zostawiać Laurencji samej.

- Bardzo kocham wieś - rzekła po krótkiej przerwie.

- A jednak wybrała pani życie w warunkach nie odpowiadających pani upodobaniom - powiedział z wymówką. - My na wsi wstajemy wcześniej i kładziemy się wcześniej, a pani robi odwrotnie.

Zdawało się, jakby miał do niej o to pretensje, więc po chwili odezwała się:

- Nie mam ochoty panu tego tłumaczyć. Porozmawiajmy lepiej o panu i pańskim zamku.

- Rozmawialiśmy o tym już wcześniej. Chciałbym teraz dowiedzieć się czegoś o pani.

- Och, nie... proszę... - wyszeptała Laurencja. Ku jej wielkiej radości w tej samej chwili oznajmiono, że podano do stołu. Kolację przygotowano w wielkiej paradnej jadalni. Laurencja była oszołomiona ogromem tej komnaty, zafascynowało ją również żebrowane sklepienie oraz rzeźbiona galeria dla muzyków.

Czuła się tak, jakby grała na scenie. Obawiała się popełnić jakiś błąd, który uświadomiłby księciu, że nie jest tą osobą, za którą ją bierze. Ponieważ wiedziała o jego zainteresowaniach królem Arturem, opowiedziała kilka nie znanych mu historyjek. Rozprawiali na temat prawdziwości niektórych francuskich źródeł.

Kiedy służący wyszli, książę rozsiadł się wygodnie w fotelu z kieliszkiem brandy w dłoni.

- Jestem zdumiony, panno King - powiedział.

- Czym? - zapytała Laurencja.

- Pani głęboką wiedzą w zakresie historii średniowiecznej, pani znajomością francuskiego i walijskiego. Przecież występuje pani na scenie!

W ferworze rozmowy Laurencja zapomniała, że podaje się za kogoś innego. Zaczęła więc gorączkowo szukać jakiejś sensownej odpowiedzi. Minęło trochę czasu, zanim odezwała się:

- Nie wydaje mi się, żeby któraś z tych rzeczy, o których dzisiaj rozmawialiśmy, nadawała się jako sposób zarabiania na życie.

- Nie zgadzam się z panią - rzekł książę. - Jestem przekonany, że wielu historyków z radością powitałoby asystentkę czy sekretarkę, która tyle wie o przedmiocie ich pracy.

Laurencja bardzo chciała wyjaśnić mu, że jest w błędzie. Wielu historyków podobnie jak jej ojciec było tak biednych, że nie mogli sobie pozwolić na zatrudnianie sekretarki.

Wszelkie prace, które dla nich wykonywała, robiła za darmo. Ponieważ milczała, książę odezwał się:

- Myślę, że to z powodu niezwykłej urody pragnie pani aplauzu widowni, a nie wystarcza pani podziw pisarza.

Ujrzał w jej oczach zdumienie.

- Nie jest wcale łatwo kobiecie... zarabiać pieniądze... w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

- Tak właśnie być powinno - oświadczył książę - bo to właśnie mężczyzna ma obowiązek utrzymywać kobietę. O ile to tylko możliwe, żadna kobieta nie powinna być zmuszona do pracy.

- Nawet w czasach, kiedy budowano ten zamek - mówiła Laurencja - pracowały w nim kobiety, prały, sprzątały, opiekowały się dziećmi.

- Ale nie były tak piękne jak pani! - powiedział książę.

Pod wpływem jego słów zaczerwieniła się i to go zdumiało. Nachylił się, żeby odstawić kieliszek na stół.

- Wielu mężczyzn musiało już pani mówić, jak bardzo jest pani piękna - powiedział. - Jednak dopiero ten zamek stanowi właściwą oprawę dla pani urody. Można by sobie wyobrazić, że znalazła się pani na zamku Camelot.

Jego słowa wprowadziły Laurencję w jeszcze większe zdumienie. Nie chcąc ich dalej słuchać, rzekła:

- Myślę, że teraz, kiedy już zjedliśmy kolację, będę się mogła oddalić.

- Nie ma mowy - powiedział książę. - Nie chcę, żeby pani odchodziła. Może byśmy przeszli do salonu?

Laurencja wstała, a on otworzył przed nią drzwi. Szli szerokim korytarzem w stronę rzęście oświetlonego salonu. Zapalone świece sprawiały, że wyglądał piękniej niż za dnia. Na kominku palił się ogień i Laurencja podeszła do niego i wyciągnęła rękę w stronę płomieni.

- Czy pani zimno? - zapytał książę.

- Zmarzły mi ręce.

Czuła się zdenerwowana, ale nie ze strachu. Było w tym coś, czego dotychczas nie doświadczała. Miało to związek z mężczyzną, który stał obok. „Czuję się nieswojo - pomyślała - ponieważ nigdy przedtem nie znajdowałam się w takiej sytuacji”.

Wiedziała jednak, że to nie wszystko. Było jeszcze coś, czego nie dało się wyrazić słowami. Była to jakaś nić, która wiązała ją z nim. Książę stał bardzo blisko, czuła, że przygląda się jej włosom. Zdawało jej się, jakby coś mówił do niej bez słów.

- Odnoszę wrażenie - powiedziała - jakby mnie pan krytykował.

- Wprost przeciwnie, podziwiam panią! - rzekł.

- To mnie zawstydza.

- Jak to możliwe? Pani mnie intryguje, Laurencjo. Zaczynam podejrzewać, że pani rzuciła na mnie urok.

- Gdyby był tutaj czarodziej Merlin, z pewnością pomógłby panu.

- Ale go nie ma - odrzekł książę. - Jestem zatem pani niewolnikiem.

Laurencja próbowała się roześmiać, unikając jednak oczu księcia. Chciała odejść od niego, ale nie mogła.

- Spójrz na mnie, Laurencjo! - powiedział książę niespodzianie.

Jego głos brzmiał rozkazująco, więc posłuchała go, a kiedy ich oczy spotkały się, powiedział miękko:

- Czemu jesteś taka tajemnicza? Powiedz mi o sobie prawdę!

Laurencja chciała mu oświadczyć, że przecież zna już prawdę, lecz tym razem kłamstwo nie chciało jej przejść przez wargi. Przyszły jej za to na myśl słowa przeczytane przed południem:

To mówiąc spojrział na mnie.

Jego oczy uwięziły mnie,

Aż stałam się jednym z nim ciałem.

„Stałam się jednym z nim ciałem!” - powtórzyła w myślach.

Nie mogła wprost oczu oderwać od księcia. Czuła, że przyciąga ją z niezwykłą siłą. Więził ją swoim spojrzeniem, czy chciała tego, czy nie. Powoli jego ramiona objęły ją i Laurencja poczuła ich uścisk. Nadal na siebie patrzyli, lecz nie była już świadoma co się z nią dzieje. Wiedziała tylko, że stanowi z nim jedność.

Przyciągnął ją mocniej do siebie, zbliżył usta do jej ust.

Laurencja drżała. Poczuła, że popycha ją ku niemu nieprzewyciężona siłą, że jest on ucieleśnieniem jej marzeń i że brak jej sił, żeby się od tego czaru uwolnić. Nikt jej jeszcze nigdy nie całował, lecz tak właśnie wyobrażała sobie pocałunek. Poddała mu się bez sprzeciwu, ofiarowując nie tylko swoje ciało, ale i duszę.

Wiedziała, że to nie sam książę tak ją oczarował. Działała też na nią atmosfera zamku, czuła obecność rycerzy, którzy go niegdyś zamieszkiwali. Ogarnęło ją dziwne podniecenie podobne do tego, które odczuwała czytając o heroicznym i romantycznym czynach króla Artura.

Książę przeniósł ją do mistycznego świata, którego istnienie przeczuwała, lecz który dopiero teraz w pełni pojęła. Było to przeżycie tak doskonałe, że można je było porównać ze znalezieniem Świętego Graala. Za tym tęskniła i tego szukała. Zdawało jej się, jakby się nagle znaleźli w krainie bogów.

Choć pocałunki księcia były namiętne, jednak wyczuwało się w nich szacunek, nieodzowny w prawdziwej miłości. Tak właśnie wyobrażała sobie wielkie uczucie i tak przedstawiano je w arturiańskich legendach. Lecz jej miłość nie była legendą

- była prawdziwa. Książę ucieleśniał jej najskrytsze marzenia. Gdy ją tak trzymał w objęciach, czuła falę ciepła, rozlewającą się po całym ciele. Kiedy wreszcie przestał ją całować, z jej ust wydobył się jęk.

- Rzuciłaś na mnie czar - powiedział niepewnym głosem.

Wyszeptała coś niewyraźnie, a potem ukryła głowę na jego piersi.

- Wyglądasz jak Diana z portretu, którym zachwyciałem się niegdyś. Nie przypuszczałem, że spotkani żywą kobietę, tak do niej podobną.

Poczuł, że Laurencja drży, pocałował jej włosy i powiedział:

- Jesteś taka piękna! Tak niezwykle piękna! Muszę się tobą opiekować. Nieważne, kim byłaś w przeszłości, teraz będziesz ze mną.

Uniósł palcami jej podbródek i zwrócił jej twarz ku sobie.

- Powiedz, czy coś czujesz do mnie? - zapytał. - Powiedz mi to sama, choć zdaje mi się, że znam odpowiedź.

Zniewolona jego słowami wyszeptała:

- Kocham cię i nic na to nie mogę poradzić! Kocham cię, odkąd ujrzałam cię po raz pierwszy. Byłeś dla mnie jak rycerz zakuty w srebrzystą zbroję. Książę zaśmiał się.

- Czy rzeczywiście tak wyglądałem?

- Takim cię widziałam.

- A ty byłaś dla mnie Dianą z obrazu Bouchera, do której się modliłem za każdym razem, kiedy odwiedzałem Paryż. Twoje włosy są takie same jak jej.

To mówiąc dotknął ich palcami, a potem znów zaczął ją całować. Jego pocałunki były coraz gorętsze i wzniecały w niej pożar. Upłynęło wiele czasu zanim książę podprowadził ją do sofy, na której obydwójce usiedli.

- Nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o tobie - powiedział. - Lecz jest przecież sprawa, którą musimy

załatwić. Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli cię jutro zawiozę do Londynu.

Przez chwilę nie rozumiała, co do niej mówi. Gdy sens jego słów dotarł do niej, zawołała:

- Wiesz, że muszę być w Londynie jak najszybciej!

- Pojedziemy tam razem - rzekł. - A gdy już tam będziemy, znajdę miejsce, gdzie moglibyśmy być razem. - Ujrzawszy w jej oczach pytanie, powiedział ze śmiechem: - Powiedziałaś, że mnie kochasz, a ja Kocham cię! Nic innego się nie Uczy. Jednak nie mogę pozwolić, żebyś nadal występowała na scenie. - Przerwał na chwilę, a potem przypomniawszy sobie co chciał powiedzieć dodał: - A teraz wyznaj mi, czy to prawda, że poślubiłaś mojego stryja? Wprost nie chce mi się w to wierzyć - z tej prostej przyczyny, że mógłbym przysiąc na święty miecz Excalibur, że nikt cię jeszcze dotąd nie całował.

Laurencja wstrzymała oddech. Usiłowała z wyżyn ekstazy wrócić na ziemię. Udawała przecież Katie King, tancerkę z teatru, która poślubiła potajemnie zmarłego księcia.

- Powiedz mi, proszę, czy to prawda? - nalegał książę.

Zorientowała się, że namawia ją, żeby złamała słowo dane Harry'emu Carringtonowi, a także, by zniweczyła wszystkie wysiłki, mające na celu zdobycie pieniędzy na zoperowanie dwóch śmiertelnie chorych osób. Nadludzkim wysiłkiem wysunęła się z ramion księcia.

- Powiedziałaś, że... zabierzesz mnie do Londynu - wyszeptała. - Dopiero tam odpowiem na twoje pytania.

Podniosła się z sofy i podeszła do kominka, a książę śledził ją wzrokiem.

- Masz prawo do swoich tajemnic, Laurencjo - rzekł. - Czy zgadzasz się, żebyśmy zawarli umowę? Ja dam ci pieniądze, a ty pozwolisz mi pojechać z sobą do Londynu i o wszystkim mi opowiesz.

- Wątpię, czy chciałbyś to wszystko wiedzieć - rzekła. - Jednak obiecuję, że odpowiem na wszystkie pytania, gdy znajdę się w Londynie i gdy spłacę mój dług.

Zdawało jej się, że ta umowa hańbi miłość, która się w niej zrodziła i którą książę odwzajemnił. Nawet nie przypuszczała, że jest zdolna do tak wielkiego uczucia. Ale gdy serce podszeptywało jej jedno, rozum podpowiadał, że powinna robić to, co zamierzyła. Nie mogła przecież zdradzić ojca i Katie King, których życie zależało od pieniędzy pożyczonych przez Izaaka Levy'ego.

Mimo całej miłości do księcia, nie mogła wyznać mu prawdy, nie mogła zdradzić tych, którzy jej zaufali.

Przelekła się, że mogłaby go stracić, więc odwróciła się i powiedziała:

- Zrozum mnie, proszę. Kocham cię, lecz niczego więcej nie mogę ci teraz powiedzieć.

- Wszystko to nie ma żadnego znaczenia - oświadczył książę. - Jedyna rzecz, która się liczy naprawdę, to twoja miłość. Chcę wierzyć, że to prawda.

- Tak, prawda - rzekła. Wstał, podszedł do niej i objął ją.

- Powtórz mi to jeszcze raz, żebym uwierzył.

- Kocham cię. Nie sądziłam, że miłość jest taka.

- Jaka?

- Taka boska i taka święta.

Książę spojrzął jej w oczy i znów ją pocałował, a jego pocałunek przeniósł ją w krainę ekstazy.

- Nie mogę się wprost doczekać, kiedy będziemy razem - powiedział. - Gdy tylko przyjadę do Londynu, kupię dom, w którym będziemy mogli być razem. Dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz, moja piękna. Wszystko, cokolwiek zechcesz.

Laurencja z trudem rozumiała, o co mu chodzi. Wspominał o jakimś domu, więc pomyślała, że musi mu

powiedzieć, że kiedy ojciec wyjdzie z kliniki, będzie musiała zająć się nim i nie będzie mogła spędzać z księciem tyle czasu, ile by chciała. Pragnęła mu to wyjaśnić, lecz przypomniała sobie, że to niemożliwe. Powiedziała mu przecież, że to jej wuj jest chory, a nie ojciec.

Jakże mogłaby się przyznać, że nie jest Katie King, lecz Laurencja Braintree? Jak powiedzieć, że nie musi opuszczać sceny, ponieważ nigdy tam nie występowała? Wszystko to zdawało się zbyt trudne, zbyt skomplikowane. Liczyło się tylko to, że trzymał ją w objęciach i całował. Pragnęła, żeby to trwało w nieskończoność, lecz księżę wypuścił ją z uścisku.

- Musisz się już położyć, kochanie - powiedział. - Jeśli chcemy zdążyć na ranny pociąg do Londynu, musimy być gotowi o ósmej. Zaraz wydam odpowiednie rozporządzenia.

- Tak, oczywiście.

- Nie martw się o nic - uspokajał ją. - Obiecuję ci, że gdy tylko znajdziemy się w pociągu, dam ci czek, o który mnie prosiłaś. A gdy się już znajdziemy w Londynie, omówimy wszystkie inne sprawy.

Laurencja milczała, a gdy księżę wstał, ona wstała również.

- Połóż się do łóżka i śnij o mnie - powiedział. - O nic nie musisz się kłopotać. Wszystko zostaw mnie. Będę się o ciebie troszczył i nigdy cię nie opuszczę.

- Naprawdę pragniesz, żebyśmy była z tobą?

- Będę ci to wciąż powtarzał - rzekł księżę, a po chwili dodał poważniejszym tonem: - Jeśli udało ci się utrzymać twoje małżeństwo w tajemnicy przez tyle lat, sądzę, że powinniśmy ukryć naszą miłość przed ludzką ciekawością, bo gorszono by się tym, że jesteśmy razem. Nikt nie powinien się dowiedzieć o naszym związku. Początkowo będzie ci brakować teatru, lecz przysięgam, że zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Laurencja wciąż nie rozumiała znaczenia jego słów. Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o jego przystojnej twarzy. Wydawało jej się, że ma przed sobą nie księcia Tregaron, lecz jednego z rycerzy króla Artura lub nawet samego króla. Rzeczywistością była tylko miłość. Rozumiała tylko tyle, że odnalazła coś, czego długo szukała.

Książę otoczył ją ramieniem i razem przeszli przez salon. Przy drzwiach pocałował ją w czoło.

- Zaufaj mi - powiedział. - Jesteś moja i ja zadbam o wszystko. Kocham cię i ty mnie kochasz!

Myślała, że znów ją pocałuje, lecz otworzył przed nią drzwi. Wyszła posłusznie i dopiero kiedy szła przez hol, uświadomiła sobie, że książę nie idzie za nią, lecz pozostał w salonie.

ROZDZIAŁ 6

Podróż z księciem do Londynu różniła się od tej, którą odbyła sama w przeciwnym kierunku. Wyjechali z zamku o ósmej wygodnym powozem, zaprzężonym w czwórkę koni. Na stacji kolejowej czekał już na nich zawiadowca i zaprowadził do zarezerwowanego przedziału. Towarzyszyli im również służący, dogładający bagażu i mający pod opieką koszyk z prowiantem. Do przedziału dostarczono im liczne gazety i czasopisma. Nie zapomniano również o pledzie do nakrywania nóg.

- Czuję - odezwał się książę, gdy tylko pociąg ruszył - że oto rozpoczynamy naszą wspólną przygodę, sama myśl o tym jest ekscytująca!

Laurencja chciała mu wyznać, że wspólna podróż jej także wydaje się pasjonująca. Nie mogła się jednak przyznać, że prawie całą noc nie spała. Najpierw rozpamiętywała szczęście, jakie ją spotkało, lecz później doszła do przekonania, że gdy znajdą się już w Londynie, nie może się więcej z księciem widywać.

Leżąc ostatniej nocy w sypialni przebiegła jeszcze raz myślami wszystko, co jej powiedział książę, i dopiero wówczas zrozumiała znaczenie jego słów. „Kupię dom, w którym będziemy mogli być razem”.

Laurencja mimo całego swojego odczytania była zupełną ignorantką w sprawach dotyczących miłości. Wiedziała jednak, że kobiety mają kochanków. Z usłyszanych rozmów, toczonych przez znajomych ojca, domyśliła się, czemu aktorki uważane są za osoby nieprzyzwoite. Mężczyźni zapraszają je na kolacje, ofiarowują im klejnoty i utrzymują z nimi miłosne stosunki. Co to dokładnie oznacza, Laurencja nie wiedziała, lecz domyślała się, że jest to coś złego i grzesznego, bo gdyby tak nie było, nie nazywano by ich przecież „kobietami upadłymi”.

Początkowo nie mogła wprost uwierzyć, że to właśnie książę jej zaproponował. W jej głowie panował zamęt. Zrozumiała tylko jedno, że gdyby zgodziła się na jego propozycję, stałaby się „kobietą upadłą”. A jednak bardzo żywo utkwily jej w pamięci jego słowa: „Sądzę, że powinniśmy ukryć naszą miłość przed ludzką ciekawością, bo gorszono by się tym, że jesteśmy razem”.

Ludzie byliby zgorszeni, ponieważ uważaliby ją za wdowę po zmarłym stryju księcia, a także dlatego, że mieszkaliby razem bez ślubu. Dla Laurencji było nie do pomyślenia, żeby jej miłość nie miała być piękna i czysta. Potem przypomniała sobie, że miłość Lancelota do królowej Guinewry, żony króla Artura, była grzechem, za który królowa musiała odpokutować. „Jak to możliwe, że to, co czuję do księcia, jest złe?” - zapytywała samą siebie.

Zdawało jej się, jakby sam Bóg udzielił jej odpowiedzi, że miłość płynąca z głębi serca nie może być zła. Złem byłaby jednak zgoda na propozycję księcia.

„Muszę zniknąć” - zdecydowała Laurencja.

Łkała na myśl, że musi rozłączyć się z ukochanym mężczyzną, któremu oddała serce, ciało i duszę. „Kocham go! Kocham!” - szeptała szlochając w poduszkę. Była jednak przekonana, że nie może przywieść go do grzechu. Nie może skalać obrazu rycerza w srebrzystej zbroi, jakim go ujrzała po raz pierwszy.

„Czysta miłość nie może zostać zbrukana”.

Nie wiedziała nawet, gdzie wyczytała te słowa, lecz brzmiały jej w uszach bardzo wyraźnie. Widziała przystojną twarz księcia i wyraz jego oczu, jakiego nigdy jeszcze nie dostrzegła u mężczyzny. Obiecywała sobie, że nigdy o nim nie zapomni.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby przecież wytłumaczyć mu, że nie jest Katie King, kobietą zamężną i aktorką, lecz

kimś zupełnie innym. Lecz wiedziała, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Książę mógłby jej nie wybaczyć, że oszukała go i jego rodzinę, podając się za żonę stryja i wyciągając pod fałszywym pretekstem osiemset funtów.

Śniadanie zjedli w swoich sypialniach i kiedy zeszła na dół ubrana w ciemny strój podróżny, książę wziął do ręki jej torebkę i wsunął do niej kopertę. Domyśliła się, co zawiera koperta, lecz gdy chciała mu podziękować, poprowadził ją przez hol, a potem schodami do powozu. Gdy znów próbowała mu podziękować, przerwał jej słowami:

- Chciałbym, żebyś zapomniała o wszystkim z wyjątkiem tego, że jesteśmy razem.

Dotknięcie jego ręki wprawiło ją w drżenie, więc patrzyła tylko na niego, a jej wzrok wyrażał miłość.

Obecnie siedząc naprzeciw niej w kolejowym przedziale książę zastanawia! się, jak to możliwe, żeby żywa kobieta była tak piękna i tak bardzo podobna do bogini Diany z obrazu Bouchera. Podziwiał jej maleńki nosek, pięknie zarysowane brwi, miękki owal twarzy i oczywiście złotorude włosy. Wyobrażał sobie jak rozpuszczone opadają jej na ramiona. Domyślał się, że są bardzo długie, choć Laurencja upięła je szpilkami z tyłu głowy. Pragnął rozpleść jej warkocze i ukryć twarz w jedwabistej miękkości jej włosów.

Jakby wyczuwając jego myśli, Laurencja spłonila się rumieńcem. A on zachodził w głowę, skąd bierze się jej zawstydzenie, jeśli była żoną tak zepsutego człowieka jak jego stryj. Próbował usunąć od siebie te myśli, ponieważ były dlań torturą.

A jednak powiedział jej, że przeszłość pójdzie w niepamięć, a teraźniejszość i przyszłość będzie należała do niego. Lecz nawet gdyby zdołał zapomnieć, nie będzie jednak pierwszym mężczyzną w jej życiu. Lecz jego miłość zwycięży wszystko!

Ponieważ sądził, że trudno by mu było wytłumaczyć ciotce, czemu wyjeżdża do Londynu w takim pośpiechu, napisał do niej list. Wyjaśnił w nim, że zamierza sprawdzić osobiście zasadność pretensji panny King. Prosił też ciotkę, żeby nie wspominała nikomu o tym, co się wydarzyło.

Pisał: „Gdy tylko dowiem się czegoś więcej, skontaktuję się z Tobą. Na razie ufam, że zachowasz milczenie, tak jak ja to czynię”.

Polecił, żeby oddano markizie list podczas śniadania. Uczyniwszy to, poczuł się wolny. Teraz jadąc pociągiem czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Nie wiedzieć czemu wszystkie kobiety, które znał, a było ich wiele, prędzej czy później rozczarowywały go. Za każdym następnym razem łudził się jednak, że będzie inaczej, lecz wzbudzały w nim tylko pożądanie, nic więcej.

Natomiast kiedy wczorajszego wieczora całował Laurencję, czuł coś zupełnie innego. Wyczuwał ekstazę, w jaką popadła, i czuł to samo. Tak silnych wrażeń nigdy jeszcze nie doświadczył. Chciało mu się przed nią uklęknąć.

Kola pociągu głośno stukwały o szyny, więc nie mogli rozmawiać, lecz rozumieli się bez słów. Księżę wpatrywał się wciąż w twarz Laurencji i gdy tylko na niego spojrzała, czuł, że jest mu tak bliska, jakby ją trzymał w objęciach.

Ponieważ zjedli śniadanie, nie otworzyli podróznego prowiantu wcześniej jak w południe. W koszyku znalazło się wiele różnych przysmaków - aż trudno było wybrać. Obecność księcia sprawiała, że wszystko miało dla niej smak boski.

Tak jak dla niego ona była Dianą, tak jej on dzięki swojej urodzie i manierom wydawał się bogiem.

Na pierwszej stacji, na której się zatrzymali po posiłku, do przedziału wszedł służący, żeby zabrać koszyk z jedzeniem, i przyniósł im kawę.

- To był wspaniały posiłek - powiedziała Laurencja, przypominając sobie podróż z Londynu do zamku, kiedy obawiała się wysiąść z pociągu, by cokolwiek zjeść.

- To tylko jeden z wielu posiłków, które będziemy dzielić razem - rzekł książę. - Wybacz mi, kochanie, jeśli od razu nie znajdę godnego ciebie miejsca. Gdy tylko przyjedziemy do Londynu, każę wynająć dom, żebyśmy nie musieli czekać.

Gdy to powiedział, ze zdumieniem stwierdził, że rumieniec wstydu pojawił się na policzkach Laurencji, a ona odwróciła się od niego i zaczęła patrzeć w okno.

- Czy powiedziałem coś złego? - zapytał.

- Nie.

Pomyślał, że zawstydziła ją świadomość, że będzie z nim sama. Jej zawstydzenie było urocze. Jednak pozostało dla niego zagadką, które z jego słów dotknęły ją tak głęboko.

- Tylu rzeczy muszę się o tobie dowiedzieć - rzekł - i tylu rzeczy cię nauczyć, gdy chodzi o miłość.

Wbrew własnej woli ujrzał rozpustną twarz stryja i przypomniał sobie opowieści o jego występkach. Przez moment księciu zdawało się, że chyba jest obłąkany lub też dał się zwieść grze niezwykle uzdolnionej aktorki.

- Spójrz na mnie, Laurencjo! - powiedział. Odwróciła ku niemu twarz i gdy ich oczy spotkały się, dostrzegł w nich wyraz uwielbienia. Potem wiedziony instynktem, że pocałunek w pociągu mógłby pomniejszyć ich miłość, ujął jej dłonie i kolejno je pocałował. Usiadł z powrotem naprzeciwko niej obserwując jej zamglone oczy i w pół rozchylone wargi, jakby trudno jej było oddychać.

Jechali pociągiem pośpiesznym, więc wkrótce znaleźli się w Londynie. Laurencja czuła się wyczerpana, lecz nie tyle podróżą, co świadomością, że już nigdy więcej nie zobaczy księcia. Obmyśliła wszystko bardzo starannie i to nie tylko w czasie bezsennej nocy, ale także w podróży. Chciała się rzucić

w jego ramiona i powiedzieć mu, żeby ją pocałował ostatni raz!

„Jak będę żyć bez niego?” - zapytywała się w myślach.

Wiedziała jednak, że postępuje słusznie. To, co jej proponował, było niegodne. Nie mogła też mu wyznać, że kłamała, gdyż naraziłaby się na jego pogardę. Sądziła, że jako człowiek szlachetny i prawy musiał gardzić kłamcami, a już szczególnie kobietami usiłującymi wyłudzić od niego pieniądze.

Kiedy wyjmując chusteczkę ujrzała wręczoną jej kopertę, chciała ją podrzeć i powiedzieć, że nie ma do niej prawa. Potem przypomniała sobie, że pieniądze nie należą do niej, lecz do Izaaka Levy'ego, który czeka na zwrot pożyczki i swój stuprocentowy zysk.

„Żegnaj, moja miłości!” - myślała Laurencja w rytm stukotu kół.

Znów się zawahała, czy nie wyjawić mu prawdy, że nie jest Katie King, spłacić dług i - jak mu obiecała - odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Przecież gdyby została jego kochanką, mogłoby się okazać, że jego miłość jest wspanialsza od jego pocałunków!

Przeraziły ją własne myśli! Co by na to powiedział jej ojciec? Dbał o nią, ochraniał - gdyby dowiedział się, że żyje z mężczyzną bez ślubu, sprawiłoby mu to większy ból niż trawiąca go choroba.

„Muszę koniecznie zniknąć” - postanowiła Laurencja, zdając sobie sprawę, że jej myśli wciąż krążą dokoła tego samego punktu.

- W Londynie będzie oczekiwał na nas powóz - odezwał się książę. - Posłałem wcześniej służącego, żeby wszystko przygotował.

Ponieważ Laurencja milczała, kontynuował:

- Odwiozę cię najpierw do domu. Chciałbym wiedzieć, gdzie mieszkasz.

Laurencja przewidywała taki obrót sprawy, lecz wiedziała, że musi temu jakoś zapobiec.

- Pojadę do przyjaciół, którzy opiekują się moim wujem w czasie mojej nieobecności - rzekła.

- Dobrze, a gdzie to jest? - zapytał.

- Na Harley Street.

- To dobrze się składa, bo jest to po drodze z dworca w kierunku Berkeley Square.

Zgodnie z przewidywaniami książęcy służący oczekiwali na nich na peronie. Do powozu zabrano jej mały kuferek podróżny, bagaż księcia wyeksponowano innym powozem.

- Pod jakim numerem przy Harley Street mamy się zatrzymać? - zapytał książę.

- Pod dwudziestym dziewiątym - odrzekła. Lokaj zamknął drzwi i powóz ruszył. Książę ujął dłoń

Laurencji.

- Czy mogę przyjść po ciebie wieczorem i zabrać cię na kolację?

- Myślę, że dzisiaj to niemożliwe.

- To może jutro na obiad?

- Wspaniale.

- Będę u ciebie około pierwszej. Westchnęła cichutko.

- Bardzo długo będę musiał czekać na spotkanie z tobą. Rozumiem, że musisz najpierw zobaczyć się z wujem, a także wytłumaczyć znajomym, kim jestem. Może byłoby lepiej, gdyby nie dowiedzieli się prawdy.

- Masz rację - powiedziała Laurencja cicho.

- Nienawidzę kłamstw! - zawołał. - Rozumiesz jednak, że nie byłoby dobrze, gdybyśmy stali się przedmiotem plotek. Jako książę muszę się liczyć nie tylko z opinią ludzi, ale również z prasą.

- To zrozumiałe - rzekła Laurencja.

- Jutro zadecydujemy, w jaki sposób moglibyśmy jak najczęściej być razem - powiedział książę. - Wprost wierzyć mi się nie chce, że zakochałem się do szaleństwa, choć wiem o tobie tak niewiele. Wydaje mi się jednak, jakbym cię znał od lat.

- Ja też czuję, jakbym cię znała od początku świata - rzekła.

- Chyba tak było - zgodził się książę. - Może przebywaliśmy razem w innym życiu i w innym świecie? Teraz znów będziemy razem i nic nas już nie rozdzieli.

- Lecz czy to się znów nie zdarzy?

- Nie myślmymy teraz o tym - rzekł książę. - Mamy przed sobą wiele lat wspólnego życia. Należysz do mnie, a ja należę do ciebie, więc co mogłoby nas rozdzielić?

Palce Laurencji instynktownie zacisnęły się na jego dłoni, wiedziała bowiem, że za kilka minut zostaną rozłączeni na zawsze. Książę nie zrozumiał jednak znaczenia jej uścisku, uniósł jej dłoń i pocałował. Dotknięcie jego ust sprawiło, że jej serce zatrzepotało gwałtownie, jakby chciało się wyrwać z piersi. Potem powóz zatrzymał się i oboje uświadomili sobie, że dojechali na Harley Street.

- Lepiej, żebyś nie wychodził - powiedziała Laurencja.

- Rozumiem - odrzekł książę. - Do widzenia, kochanie! Przyjadę po ciebie jutro.

Spróbowała się uśmiechnąć, lecz jej oczy były niewypowiedzianie smutne. Sprawiało mu radość, że tak krótkie rozstanie z nim tak bardzo ją martwi.

- Do widzenia - wyszeptała Laurencja. Wysiadła z powozu, a lokaj księcia wniósł za nią bagaż po schodach do holu. Stojący w drzwiach służący przyglądał się jej ze zdumieniem. Potem lokaj zbiegł na dół i wsiadł do powozu.

- Czy to jest Harley Street trzydzieści dziewięć?

- Nie, proszę pani. Jest to dom pana Fryderyka Baldwina, Harley Street dwadzieścia dziewięć.

- Och, przepraszam, pomyliłam adres! - zawołała Laurencja, a widząc przez wpół otwarte drzwi, że powóz księcia już odjechał, dodała: - Numer trzydzieści dziewięć chyba nie znajduje się daleko. Pójdę tam pieszo, ponieważ mój powóz już odjechał. Czy mogłabym zostawić tutaj mój bagaż i przysłać kogoś po niego później?

- Dobrze, proszę pani. Numer trzydzieści dziewięć znajduje się pięć domów dalej po tej samej nieparzystej stronie.

- Dziękuję - powiedziała. - Jak mogłam się tak pomylić.

- Ludzie często gubią się na tej ulicy - rzekł służący. - Co chwilę ktoś o coś pyta.

- To duży kłopot - odrzekła Laurencja. Służący otworzył drzwi, wyszła więc na ulicę nie widząc nigdzie śladu książęcego powozu. Minęła numer trzydziesty dziewiąty i weszła do domu pod numerem czterdzieści dziewięć, gdzie mieściła się klinika doktora Curtisa, i poprosiła o widzenie z nim.

Troska i zmartwienie o ojca znów spadły na nią z ogromną siłą. Nagle przyszło jej na myśl, że operacja mogła się nie udać lub że choroba była zbyt zaawansowana, by można było uratować mu życie.

Wprowadzono ją do mrocznej poczekalni. Siedząc w samotności modliła się, żeby Bóg nie karał jej za chwile szczęścia spędzone u boku księcia utratą ojca. Wiedziała, że jej rozumowanie jest dziecinne, jednak była przekonana, że to, co robiła, było złe. Miłość tak bardzo ją pochłonęła, że na krótko zapomniała o ojcu.

„Proszę cię, Boże, żeby papa żył!” - modliła się.

Gdy drzwi się otworzyły i do poczekalni wszedł doktor Curtis, Laurencja spojrzała na niego z przestrawieniem.

- Cieszę się, że panią widzę, panno Braintree - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Pewnie niepokoiła się pani o ojca. Zaraz panią do niego zaprowadzę.

- Mogę go zobaczyć?!

- Wciąż pyta o panią. Jest jeszcze bardzo słaby, dlatego nie może pani zostać z nim dłużej.

- Więc ma się dobrze? Operacja się udała?

- Może mi pani zaufać - rzekł chirurg. - Operacja udała się znakomicie! Wszystko przebiega pomyślnie i ojciec pani będzie mógł wrócić do pracy.

Laurencja nie mogła mówić. Uczucie ulgi sprawiło, że wyglądała tak uroczo, że doktorowi Curtisowi przyszło na myśl, że nie widział jeszcze piękniejszej kobiety. W pokoju chorego okna były zasłonięte, lecz Laurencja dostrzegła bladą, przystojną twarz ojca. Podeszła do łóżka i ujęła go za rękę.

- Papo, to ja! - powiedziała miękko. Nie poruszył się, więc doktor Curtis rzekł:

- Niech pani spróbuje jeszcze raz.

- Jestem tutaj, papo! - rzekła nieco głośniej.

Na twarzy profesora pojawił się uśmiech, otworzył oczy.

- Laurencja! Czy dobrze się czujesz?

- Bardzo dobrze - odrzekła - i ogromnie się cieszę, że cię widzę.

- Wkrótce wrócę do domu. Muszę dokończyć moją książkę.

- Oczywiście, papo. Dokończymy ją razem. Profesor przymknął oczy i Laurencja ucałowała go w policzek, po czym razem z doktorem cichutko wyszła z pokoju.

- Chciałbym, żeby ojciec pani miał spokój przez następne kilka dni - powiedział lekarz. - Później możemy się zastanowić, kiedy mógłby wrócić do domu.

- Dziękuję panu, doktorze - rzekła. - Gdyby nie pan, mój ojciec by umarł.

- Niestety, to prawda - zgodził się doktor Curtis. - Muszę opisać ten przypadek doktorowi Listerowi z Edynburga. Zapewne go to zainteresuje. - Uśmiechnął się do Laurencji i dodał: - Ojciec pani jest bardzo sławnym człowiekiem. Myślę, że teraz wielu ludzi dowie się, że metoda Listera pozwala ratować życie tym, którzy byli skazani. Tacy ludzie jak pani ojciec są nam potrzebni.

- Dziękuję panu - rzekła Laurencja.

- Nie musi się pani niepokoić o ojca - rzekł lekarz prowadząc ją schodami na dół. - Może pani odwiedzić ojca jutro rano i pozostać z nim przez pięć minut.

- Czy mogę przyjść z samego rana?

- Tak wcześnie, jak pani zechcę.

- A więc przyjdę o dziesiątej.

- Do widzenia, panno Braintree.

Laurencja uśmiechnęła się do niego, a gdy portier otwierał przed nią drzwi, rzekła:

- Zupełnie zapomniałam. Z polecenia doktora Medwina przyjął pan jeszcze jedną pacjentkę, Katie King. Jak się miewa? Zapadło milczenie.

- Niestety - rzekł lekarz - mimo wszelkich moich starań zmarła dziś rano. - Widząc wrażenie, jakie wywołały jego słowa, dodał: - Jej stan był poważniejszy niż ojca pani. Nawet sam Lister by jej nie pomógł.

- Jestem przekonana, że zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy, żeby ją ratować - powiedziała. - Czy byłby pan tak dobry i powiadomił pana Carringtona, że już jestem w domu?

Doktor Curtis był zdumiony, że zna Harry'ego Carringtona.

- Oczekuję go dziś wieczorem - rzekł. - Przekażę mu wiadomość od pani.

Laurencja wynajęła dorożkę, zabrała swój bagaż spod numeru dwudziestego dziewiątego i kazała się zawieźć do domu. Jadąc rozmyślała nad tym, że Harry Carrington włożył tyle wysiłku w ratowanie życia Katie King, a jednak, o ironio losu, to jej ojciec został uratowany, a Katie umarła.

Markiza nie musiała się już martwić, że jej brat poślubił tancereczkę z kabaretu, a jedynymi ludźmi, którzy mogli być bezgranicznie wdzięczni losowi za ocalenie, byli jej ojciec i ona sama. „Tylko dzięki moim włosom, ich podobieństwu do włosów Katie King, papa mógł być operowany” - pomyślała Laurencja.

Potem przyszło jej na myśl, że doktor Curtis miał rację mówiąc, że jej ojciec jest człowiekiem zbyt znakomitym, żeby umierać. W takim stanie ducha dotarła do dzielnicy Lambeth i znalazła się przed wysokim domem przy ulicy Wellingtona. Laurencja otworzyła drzwi, a gdy dorożkarz pomógł jej wnieść kuferek do holu, zapłaciła mu czując, że policzył sobie zbyt drogo. Gdy wyszedł, zamknęła za nim drzwi, rozejrzała się dokoła i poczuła się bardzo samotna.

Tonące w kurzu mieszkanie wydało jej się w porównaniu z zamkiem bardzo maleńkie. Wizyta w zamku Tregaron była dla niej niczym sen. Czy to możliwe, że była w zamku podobnym do zamku Camelot, że spotkała rycerza, który mógł być jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu, że musiała się z nim rozłączyć za cenę ratowania życia ojca?

Czując, że wszystkie jej marzenia legły w gruzach, rozplakała się...

Harry Carrington przyszedł, gdy się już ściemniało. Spodziewając się jego wizyty wysprzątała hol i bawialnię i przebrała się. Niczego dotąd nie jadła, ponieważ pamiętała, że ojciec nie życzył sobie, żeby wychodziła z domu wieczorem, lecz po obiedzie zjedzonym w pociągu nie czuła głodu.

Płacz i smętne rozmyślenia, że nie zobaczy już nigdy księcia, sprawiły, że pragnęła tylko położyć się do łóżka. Jednak przecucie mówiło jej, że Harry Carrington otrzymał wiadomość o jej powrocie i zgłosi się po pieniądze. Było już po dziesiątej, kiedy usłyszała kołatanie do drzwi i domyśliła się, że to Harry. Na jego twarzy malowała się rozpacz.

- Jakże mi przykro - powiedziała, zanim zdążył się odezwać.

Wszedł do bawialni i dopiero tam powiedział z goryczą:

- Jak to możliwe, że ona nie żyje? Była taka młoda! Miała przed sobą jeszcze całe życie!

Laurencja wręczając mu kopertę czuła się bardzo niezręcznie.

- Bardzo mi przykro, lecz jest tu tylko osiemset funtów - powiedziała. - Książę nie chciał dać więcej, zanim nie sprawdzi wszystkiego.

Harry milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- W porządku. Powinniśmy mu być wdzięczni nawet za tę sumę. Ponieważ nie możemy dopuścić, by dowiedział się zbyt wiele, zamknijmy całą tę sprawę.

Otworzył kopertę i przeczytał czek.

- O jaką sumę prosiła pani księcia?

- O osiemset funtów.

- Czek opiewa na tysiąc funtów. Laurencja otworzyła oczy ze zdumienia.

- Tysiąc funtów?

- Proszę, niech pani sprawdzi sama.

Zobaczyła napisaną wyraźnym pismem księcia kwotę tysiąca funtów.

- Dwieście funtów to lepiej niż nic - odezwał się Harry. - Spojrzał na Laurencję i dodał: - Teraz, kiedy Katie nie żyje, możemy podzielić te pieniądze na pół.

- Och nie, cóż znowu! - zawołała Laurencja. - Nie chcę tych pieniędzy! Proszę je sobie zabrać!

Wiedziała, że to co mówi jest bezsensowne. Przecież ojciec wróciwszy do domu będzie musiał dobrze się odżywiać, na co nie będzie ich stać, jeśli nie weźmie tych pieniędzy.

Harry spojrział jeszcze raz na czek i powiedział:

- Mamy do dyspozycji dodatkowe dwieście funtów. Doktor Medwin wspominał mi, że jest pani w równie trudnej sytuacji finansowej jak ja. Powiem więc pani, co zrobimy. - Laurencja patrzyła na niego, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. - Zatrzymam te sto funtów. Zorganizuję za to Katie godny pogrzeb, a resztę zatrzyma pani dla ojca.

Ponieważ Laurencja wciąż milczała dodał:

- Duma jest dobra, gdy człowieka na to stać. Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim ojciec pani będzie mógł wrócić do pracy.

- Ma pan rację - wyszeptała Laurencja. - Tylko...

- Mamy ten sam problem - przerwał jej Harry. - Pochodzimy obydwójce z dobrych rodzin, więc oszukiwanie przychodzi nam z trudem. Jeśli już jednak znaleźliśmy się na dnie, musimy dołożyć wszelkich starań, żeby się stamtąd wydobyć.

- Czuję się upokorzona, biorąc te pieniądze.

- To zrozumiałe - zgodził się Harry. - Jest pani zbyt szlachetna. Lecz czy pomyślała pani, co by było, gdyby pani ojciec umarł? Może mieć pani wielu bogatych krewnych, lecz żaden z nich nawet palcem nie kiwnie, żeby pani pomóc.

Rozglądał się po maleńkim pokoiku i Laurencja uświadomiła sobie dopiero teraz, jak ubogo wygląda ich mieszkanie.

- Nasz byt poprawi się, kiedy papa będzie mógł znów pracować - rzekła.

- Mam taką nadzieję - powiedział Harry. - Lecz jego książki, choć bardzo uczone, nie znajdują nabywców.

- Zatem biorę od pana te pieniądze - rzekła z pasją, a Harry spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło w zamku?

- Co się wydarzyło?

- Coś panią wzburzyło, nie licząc faktu, że musiała pani udawać Katie King.

- Nic się nie wydarzyło.

- Pani kłamie - rzekł, a potem wykrzyknął: - Wiem, co się wydarzyło. Pani się zakochała w księciu! Zapewne spotkała się pani z nim. Widziałem w gazecie jego fotografię.

Laurencja nie musiała nic mówić. Rumieniec, który pojawił się na jej twarzy, powiedział Harry'emu wszystko.

- Co zamierza pani z tym zrobić? - zapytał po chwili.

- Nic. Nie mogę zdobyć dla pana więcej pieniędzy.

- Nie zamierza pani już się z nim widzieć?

- Nie! Nigdy! - wybuchnęła. Harry włożył czek do kieszeni.

- Gdyby żyła Katie - rzekł - powiedziała by, że wykonała pani kawał dobrej roboty. Jestem pani za to niezmiernie wdzięczny. Myślę, że pani ojciec nigdy nie dowie się o tym, co się stało.

- To przecież pan uratował mu życie, będę panu wdzięczna do końca życia. Tylko bardzo mnie niepokoi, że wyłudziliśmy tyle pieniędzy. Może zwrócimy z powrotem dwieście funtów?

- Muszę się temu stanowczo sprzeciwić - powiedział Harry ze śmiechem. - Kiedy książę dowie się, że Katie nie żyje, a dowie się o tym wcześniej czy później, może szukać pani, a wówczas cały epizod z pieniędzmi pójdzie w zapomnienie.

- W jaki sposób mógłby się o tym dowiedzieć? - zapytała.

- Wszystko będzie zależało od tego, jak bardzo będzie pragnął znów panią zobaczyć. Czy on uwierzył, że jest pani księżną Tregaron?

- Myślę, że tak. Tylko markiza odnosiła się do mnie wrogo i podejrzliwie.

- A zatem powinna się cieszyć, że Katie King nie żyje! - rzekł ze smutkiem.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - powiedziała.

- Kochałem ją! - wybuchnął Harry. - Bóg raczy wiedzieć dlaczego! W moim życiu było wiele kobiet, lecz Katie znaczyła dla mnie więcej niż wszystkie inne. Choć byliśmy biedni, byliśmy szczęśliwi. Śmialiśmy się zawsze, że nadejdą jeszcze dla nas lepsze czasy.

- Tak mi przykro - powtórzyła Laurencja.

- Może za miesiąc, dwa będzie mi łatwiej o niej zapomnieć - rzekł. - Te sto funtów pozwoli mi przetrwać trudny okres.

- Ale zapłaci pan panu Levy'emu? - zapytała szybko.

- Oczywiście - odrzekł. - Ponieważ czek jest na Katie King, lepiej będzie, gdy to ja go zrealizuję.

- Ma się rozumieć.

- A zatem dobrze - powiedział Harry. - Przyjadę jutro do pani, żeby panią powiadomić, o której godzinie odbędzie się pogrzeb. Czy zechce pani wziąć w nim udział? Będzie tam niewiele osób, bo Katie nie miała rodziny.

- Oczywiście, że przyjdę.

- Zamówię trumnę i kwiaty - rzekł. - Katie tak bardzo lubiła kwiaty.

Podszedł do drzwi wyjściowych, Laurencja podążała za nim. Gdy je przed nim otworzyła, Harry uświadomił sobie, jak bardzo jest samotna i zagubiona.

- Jak się pani czuje sama w domu? - zapytał.

- Czuję się dobrze - odrzekła.

- Niech pani zamknie drzwi i nikomu nie otwiera.
- Tak zrobię.
- Ktoś koniecznie powinien być z panią - powiedział jakby do siebie.

Zawahał się przez chwilę, potem wyszedł bez słowa. Laurencja zamknęła drzwi, zgasiła świece i zaczęła przygotowywać się do snu.

ROZDZIAŁ 7

Laurencja zeszła na dół ubrana w czarną suknię, którą nosiła po śmierci matki. Suknia była nieco przyciasna, a przez to dziewczyna wydawała się w niej szczuplejsza. Miała też na sobie kapelusz ozdobiony czarnymi wstążkami i czarne rękawiczki.

Ubierając się rozmyślała przez cały czas o Katie King i jej tragicznej śmierci w tak młodym wieku. Lecz równocześnie powracała myślami do zamku Garonów. Przyglądając się sobie w lustrze nie dostrzegała własnego odbicia, lecz widziała zamkowe mury, wieże obronne i strzeliste gotyckie okna.

Przez dwa dni, które spędziła w samotności - nie licząc krótkich chwil spędzonych w klinice przy ojcu - prześladowały ją wspomnienia o księciu. Czuła się tak, jakby odnalazła świętą relikwię, Świętego Graala, a potem utraciła to na zawsze.

W jej myślach zamek Garonów był zamkiem Camelot, a książę był zakutym w srebrzystą zbroję rycerzem. Wiedziała, że już nigdy nie pokocha żadnego innego mężczyzny, że jej serce na zawsze będzie biło dla księcia.

„Kocham cię! Kocham” - szeptała pośród nocy, a jej usta tęskniły za jego pocałunkami.

Musi jednak wrócić do rzeczywistości. Nie może przecież wciąż żyć wspomnieniami. Usłyszała pukanie do drzwi i domyśliła się, że to Harry Carrington. Wpuszczając go dostrzegła, że przyjechał dorożką. Gdy wszedł do bawialni, wyjął z kieszeni kopertę.

- Oto pani część - powiedział. - Siedemdziesiąt pięć funtów!

Położył kopertę na biurku. Laurencja właśnie otwierała usta, żeby powiedzieć, że się rozmyśliła i nie przyjmie tych pieniędzy, lecz przypomniała sobie, jak słaby jeszcze jest jej

ojciec. Będzie musiała pielęgnować go jeszcze przez długie miesiące.

- Dziękuję panu - rzekła cicho.

- Za pogrzeb zapłaciłem około dwudziestu funtów, a resztę wydałem na kwiaty - powiedział Harry.

Mówił to w taki sposób, jakby czuł się winny. Laurencja milczała, a on odwrócił się i zaczął iść w stronę drzwi.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać. Chciałabym pana zapytać, czy nie powinniśmy powiadomić księcia o śmierci Katie? To nieuczciwe z naszej strony. Garonowie będą może chcieli zapłacić pieniądze, o które prosiłam, a tymczasem nie ma już powodu, żeby je dawali.

- Garonowie bez wątpienia będą z tego powodu bardzo radzi! - rzekł. - A jeszcze bardziej ucieszy ich fakt, że nie ma już pośród żywych księżny, która ich zdaniem hańbiła ich nazwisko.

- Książę powiedział mi - wyszeptała Laurencja - że imię żony stryja powinno się znaleźć w rodzinnych kronikach.

Ku jej wielkiemu zdumieniu Harry zaśmiał się i powiedział:

- O to książę może się nie martwić. Prędzej czy później dowie się prawdy i przekona, że wyłudziliśmy od niego tysiąc funtów!

Gdy skończył, Laurencja spojrzała na niego z przerażeniem.

- Co pan powiedział? - zapytała łamiącym się głosem. - Chce mi pan zasugerować, że... panna Katie King nigdy nie poślubiła jego stryja?

- Ma się rozumieć, że nie - odrzekł Harry. - Czy pani sobie wyobraża, że książę Tregaron mógłby ożenić się z tancerką?

- Ale przecież ten list... no i świadectwo ślubu! - zawołała.

- To wszystko było z ręcznie podrobione! - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Oszukałem panią i oszukałem księcia. Dobrze się napoci, zanim rozplącze tę zagadkę.

- Ale jak pan mógł mnie w to wszystko wmieszać? Jak mógł pan dopuścić, żebym kłamała i wyciągała bezpodstawnie pieniądze od Garonów?

- Czy już pani zapomniała, że wszystko to wymyśliłem po to, żeby ratować życie Katie i pani ojcu? Mnie się to nie udało, lecz pani powinna dziękować losowi.

- Ma pan rację - powiedziała po chwili. - Powinnam być wdzięczna. Chodźmy już.

Nie czekając na Harry'ego wyszła pierwsza, otworzyła drzwi i zeszła po schodach do dorożki. Do kościoła nie było daleko. Laurencja odniosła wrażenie, że Harry specjalnie wynajął dorożkę, aby dodać pogrzebowi splendoru. Jechali w milczeniu i Laurencja po tym, czego się dowiedziała, czuła się tak, jakby ją kto zdzielił obuchem.

Gdyby wiedziała... gdyby choć przez moment przypuszczała, że to wszystko kłamstwo, że te dokumenty to falsyfikaty, że Garonowie mieli rację, gdy ją podejrzewali o oszustwo...

Byli już blisko kościoła, gdy Harry powiedział:

- Niech się pani nie martwi, Laurencjo. Nikt nie będzie miał tego pani za złe, bo działała pani w dobrej wierze. - Spojrzał na jej pobladłą twarz i dodał: - Niech pani zapomni o księciu. Przecież nie wzięła pani siłą, tak jak jego stryj Katie.

- Postaram się zapomnieć.

- To bardzo mądrze - rzekł Harry. - Obydwoje musimy zapomnieć. Im szybciej to uczynimy, tym dla nas lepiej.

Dorożka zatrzymała się, Harry wysiadł, zapłacił dorożkarzowi, a potem udali się razem w stronę kościoła. Trumna Katie stała pośrodku nawy, obok niej dwa wielkie

wieńce. Były tam także inne wiązanki, z których jedną przesłały koleżanki z teatru.

W kościele oprócz nich były tylko cztery osoby: starsza kobieta, wyglądająca na garderobianą, mężczyzna i dwie jaskrawo umalowane dziewczyny. Laurencja uknęła w jednej z ławek i modliła się o spokój duszy Katie. Modliła się także o to, żeby ksiązę wybaczył jej oszustwo i żeby nie zapomniał o ich miłości.

Do kościoła w wielkim pośpiechu wszedł ksiądz. Jego komża była pognieciona i niezbyt czysta. Zaczął odmawiać modlitwy żałobne niczym automat, a słowa w jego ustach wydawały się być pozbawione wszelkiego znaczenia. Potem tragarze wzięli na ramiona trumnę, a Harry z Laurencją poszli za nimi, tworząc wraz z pozostałymi osobami niewielki kondukt. Grób Katie znajdował się w odległym końcu cmentarza i aby się tam dostać, musieli minąć wiele zniszczonych nagrobków. Cały cmentarz robił wrażenie zaniedbanego.

Idąc za trumną Katie, Laurencją rozmyślała, że przecież składają do grobu tylko jej ciało doczesne, podczas gdy nieśmiertelna dusza unosi się wolna i nie znająca cierpienia. Stojąc nad grobem przymknęła oczy i zaczęła się modlić.

- Boże, spraw, żeby zapomniała o wszystkich cierpieniach, jakich doznała za życia. A mnie pozwól, żebym zapomniała o nim. Pomóż mi żyć bez niego... Spraw, żeby ból, który teraz czuję, minął. Dziękuję Ci, że dałeś mi poznać miłość, która w Tobie ma swój początek.

Gdy trumnę spuszczano do grobu, otworzyła oczy. Naprzeciw niej, po drugiej stronie wykopanego dołu, stał mężczyzna i patrzył na nią. Poczowała nagły ucisk w sercu i pomyślała, że chyba śni. To był ksiązę.

Ksiązę przebywał właśnie w swoim gabinecie, gdy wszedł pan Arran mówiąc:

- Przyszedł pan Jackson, wasza wysokość. Książę podniósł się od biurka.

- Proszę go tutaj wprowadzić - powiedział. - Ciekaw jestem, czemu tak długo się nie pokazywał.

- Pewnie on sam wyjaśni to waszej wysokości - rzekł Arran. Z radością witał pojawienie się detektywa, którego wynajął z polecenia księcia: miał nadzieję, że przynosi w końcu jakieś wieści.

Od chwili pojawienia się w Londynie nie było dnia, żeby książę wielokrotnie nie pytał o wyniki śledztwa. Dla Arrana było to dziwne i niezrozumiałe, że książę popadł w stan tak wielkiego podniecenia z powodu jakiejś aktoreczki, która jakoby poślubiła jego zmarłego stryja. Znał doskonale zmarłego, pracował u niego przez piętnaście lat i zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe, by ożenił się z jedną z tych kobiet, z którymi wiązały go intymne stosunki. Choć zdeprawowany i rozpustny, czwarty książę Tregaron był świadom znakomitości własnego rodu i na swój sposób był dumny z rodzinnej tradycji.

Pan Arran nie mógł wprost wyjść ze zdumienia, że nowy książę może choć przez moment wierzyć w historyjkę o ślubie, nawet gdyby świadectwo ślubu okazało się prawdziwe. A już z pewnością list napisany rzekomo przez zmarłego księcia był sfałszowany. Arran wiedział jednak, że jego podejrzenia wymagają dowodu i oczekiwał rewelacji detektywa równie niecierpliwie jak sam książę.

Obecnie z nutą triumfu w głosie zaanonsował:

- Pan Jackson, wasza wysokość! Detektyw wszedł do pokoju.

- Witam waszą wysokość.

- Dzień dobry, panie Jackson - rzekł książę. - Mam nadzieję, że ma mi pan wiele do powiedzenia. Czekam na pański raport już od kilku dni.

- Wiem o tym, wasza wysokość, ale wcale nie było łatwo zdobyć interesujące pana wiadomości.

- Ale je pan zdobył?

- Ma się rozumieć, wasza wysokość.

Książę usiadł za biurkiem i wskazał panu Jacksonowi miejsce naprzeciwko siebie. Detektyw usiadł, po czym wyjął z kieszeni starannie napisane notatki.

- Zgodnie z instrukcjami pana Arrana - zaczął - udałem się do teatrzyku Rozmaitości i dowiedziałem się, że panna Katie King w ciągu ostatnich sześciu lat występowała we wszystkich przedstawieniach wystawianych przez pana Hollingsheada. - Przerwał na chwilę, potem mówił dalej: - Przedtem występowała w teatrzyku Olimpia. Do Londynu przybyła ze Stockport, gdy miała siedemnaście lat.

- Wiem o tym - powiedział książę.

- Cieszę się, że moje wiadomości pokrywają się z tym, co panu mówiono. - Pan Jackson odwrócił kartkę, a potem kontynuował: - Panna King odgrywała niewielki epizodzik, który cieszył się u publiczności wielką popularnością dzięki długim włosom opadającym podczas tańca i ich niezwyklej barwie. Widzowie nagradzali zawsze ten numer rzęsyistymi oklaskami.

- Proszę dalej - ponaglał książę. - Chcę wiedzieć, gdzie ona jest teraz.

- Dojdziemy do tego, wasza wysokość. W ciągu ostatniego roku panna King wielokrotnie zmieniała miejsce zamieszkania. Ostatnio wynajmowała pokój w dzielnicy Lambeth.

- Czy zna pan adres?

- Tak. Quay Street dziewięćdziesiąt dwa. Nie jest to zbyt elegancka dzielnica.

- Czy mieszka tam teraz?

- Nie, wasza wysokość. Sześć tygodni temu panna King opuściła teatr. Miała kłopoty ze zdrowiem.

Książę wykonał gest zniecierpliwienia.

- W domu przy Quay Street mieszkała razem z mężczyzną, który od czterech lat był jej przyjacielem.

- Z mężczyzną? Z jakim mężczyzną?

Pan Jackson kartkował swoje notatki.

- Nazywa się on Harry Carrington. Często aktorki czy tancerki mają na utrzymaniu kogoś takiego. W przypadku Carringtona nadzwyczaj dziwne jest to, że więź ta utrzymała się przez tak długi czas.

Ku wielkiemu zdumieniu pana Jacksona książę wstał z krzesła i podszedł do okna. Ponieważ nie odzywał się, detektyw mówił dalej:

- Dowiedziałem się od sąsiadów, że lekarz często odwiedzał Katie King. A na początku ubiegłego tygodnia nagle zniknęła. - Ponieważ książę milczał, detektyw powiedział z dumą w głosie: - Wcale nie było łatwe wyśledzenie, dokąd się udała, lecz miałem na oku Harry'ego Carringtona i on zaprowadził mnie na Harley Street.

- Harley Street? - zapytał książę. - Jaki numer?

- Czterdzieści dziewięć, wasza wysokość. Mieści się tam klinika znanego chirurga, doktora Curtisa.

- I ona tam teraz jest?

- Nie, wasza wysokość. Katie King zmarła trzy dni temu!

Pan Jackson mówił dalej, bardzo dumny ze swoich wywiadowczych sukcesów, lecz książę patrzył na niego, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. W końcu odezwał się chrapliwie:

- Więc pan powiada, że panna King umarła.

- Tak jest, wasza wysokość.

- Nie wierzę panu!

- Ale to prawda. Dziś odbędzie się jej pogrzeb. Sam doktor Curtis powiedział mi o tym.

Księżę znów patrzył przez okno. W końcu zapytał:

- Gdzie odbędzie się jej pogrzeb?

- W kościele parafialnym w Lambeth. Dziś w samo południe.

Zapanowała cisza. A potem - nic nie mówiąc i nie patrząc na detektywa - księżę wyszedł z pokoju.

Grabarze sypali ziemię na trumnę, a Laurencja nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wzrok księcia tak więzi ją i przykuwa, że aż trudno jej było oddychać. Duchowny wypowiedział nad grobem słowa ostatniej modlitwy i pospieszył ku kościołowi, a dziewczęta z teatru podeszły do Harry'ego, aby mu złożyć kondolencje. Laurencja prawie nie słyszała wypowiedianych przez nie słów. Myślała tylko o księciu i kiedy obchodząc grób zbliżał się do niej, wiedziała już, że na nic jej starania, żeby się przeciwstawić losowi.

Księżę bez słowa otoczył ją ramieniem i prowadził pomiędzy grobami, a potem ścieżką do bramy cmentarnej i do stojącego przed nią powozu. Pomógł jej wejść do środka i gdy lokaj otulał jej kolana pledem, zapytał:

- Gdzie mieszkasz?

Przez chwilę odebrało jej mowę, potem drżącym głosem powiedziała:

- Przy ulicy Wellingtona dwadzieścia.

Lokaj zamknął drzwiczki i po chwili ruszyli. Serce Laurencji biło jak młotem, a głos z trudem wydobywał się z gardła. Nie była w stanie nawet spojrzeć na księcia. Złożyła na kolanach ręce obciążone czarnymi rękawiczkami i patrzyła przed siebie, myśląc tylko o tym, że on jest obok. Nie liczyło się nic innego, nawet to, że w jego oczach jest oszustką.

„Nawet nie mogłabym mu zwrócić tych pieniędzy” - pomyślała.

Powóz zatrzymał się przed jej domem, a ona czuła, że siły ją opuściły. Książę pomógł jej wysiąść. Poczęła szukać klucza w torebce. Książę wziął go z jej rąk i otworzył drzwi. Kiedy przez maleńki przedpokój weszli do saloniku, Laurencja zastanawiała się, jakie wrażenie robi na nim to skromne otoczenie. Gdy doszła na środek pokoju, spojrzała mu prosto w twarz. Nagle milczenie prysło i odezwała się drżącym głosem:

- Wybacz mi, proszę - błagała. - Nie chciałam cię oszukiwać. Przysięgam, że nie wiedziałam, że Katie King nie poślubiła twego stryja.

Odetchnęła głęboko, zanim mogła mówić dalej.

- Potrzebne mi były pieniądze na operację dla ojca i Katie King, lecz sądziłam, że Katie poślubiła twojego stryja. Nie myślałam wówczas o niczym tylko o ratowaniu życia ojcu.

Łzy napłynęły jej do oczu, nie mogła zatem widzieć wyrazu twarzy księcia, lecz była pewna jego potępienia.

- Jak się nazywasz? - zapytał spokojnie.

- Laurencja Braintree. Mój ojciec jest autorem książek z dziedziny historii średniowiecznej, zwłaszcza dotyczących króla Artura. Dlatego znam tyle związanych z nim legend.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że twoim ojcem jest profesor Braintree, słynny mediewista?

- Tak. Czy słyszałeś o nim?

- Oczywiście. W bibliotece mam wiele jego książek - rzekł.

- Może więc zrozumiesz, czemu zachowałam się w tak niezwykły sposób - powiedziała. - Papa był umierający i jedyną jego szansą była operacja u doktora Curtisa, która miała kosztować dwieście funtów. Była to dla mnie suma niemożliwa do zdobycia i kiedy pan Carrington...

- Co cię łączy z tym człowiekiem? - przerwał jej książę.

- Katie King i mój ojciec leczyli się u jednego doktora. Pan Carrington przyszedł do mnie z propozycją, że ponieważ Katie poślubiła potajemnie twojego stryja, możemy zdobyć pieniądze na operację dla niej i dla mojego ojca.

- Potrzebowałaś zatem tylko czterystu funtów - odezwał się książę - czemu więc prosiłaś o osiemset?

- Te pieniądze pożyczaliśmy od lichwiarza Izaaka Levy'ego, który zażądał od nas drugie tyle w zamian za pożyczkę. Tak mi przykro z powodu tego, co zaszło!

Łzy bez przerwy toczyły się po jej policzkach.

- A więc twojego ojca operowano, kiedy byłaś w zamku - mówił książę jakby do siebie. - A Katie King nie przeżyła operacji.

- Doktor Curtis powiedział, że jej stan był cięższy niż stan mojego ojca - wyjaśniła.

- Czy twój ojciec wyzdrowieje?

- Całkowicie! Za dziesięć dni wraca do domu.

- A w tym czasie będziesz tu sama?

- Dam sobie radę.

- Czy myślałaś o zamku, odkąd ode mnie uciekłaś?

- Oczywiście, że myślałam.

- I to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Wszystko.

- Czy myślałaś też o mnie?

Zdawało jej się, jakby przysunął się bliżej, a w jego głosie dosłyszala dziwną nutę.

- Wybacz mi, proszę. Wiem, że postąpiłam niewłaściwie...

- Nie o to cię pytałem - nalegał. Opanowało ją drżenie i rzekła szybko:

- Oczywiście, że o tobie myślałam. Wiedziałam, że będziesz na mnie zły... musiałam zniknąć... nie miałam innego wyjścia.

- Czemu nie miałaś innego wyjścia?

Zapadło milczenie. Nie chciała odpowiedzieć na to pytanie, lecz wiedziała, że księżę czeka, więc wyszeptała:

- Ponieważ... nie mogłam zgodzić się na twoją... propozycję. To by zniszczyło naszą miłość.

- Naszą miłość? - zapytał. - A więc ty mnie kochasz?

- Oczywiście, że cię Kocham! - odrzekła. - Kocham cię od chwili, kiedy cię ujrzałam! Lecz nie mogłam pozwolić, żebyśmy popełnili grzech.

- A więc myślałaś o mnie!

- Nigdy o tobie myśleć nie przestanę - rzekła. - Lecz ty należysz do zamku Camelot i musisz tam wrócić. Gdy już tam będziesz, pomyśl czasem o mnie.

- Czy rzeczywiście sądzisz, że mi to wystarczy? - zapytał księżę. - Że zadowolę się tylko myślami o tobie, Laurencjo?

- Niczego więcej ofiarować ci nie mogę - wyszeptała. Spodziewała się, że księżę odwróci się i wyjdzie. Lecz on objął ją ramionami i odwrócił jej twarz ku sobie. Chciała się bronić - lecz nie mogła. Widziała tylko jego twarz, jego oczy, czuła bliskość jego ciała.

- Czy rzeczywiście chcesz mnie od siebie odepchnąć, Laurencjo? Jak możesz to robić, jeśli wiesz, że bez siebie nie możemy żyć?

- Musisz odejść - rzekła. - Chcę, żebyś to zrozumiał.

- Zrozumiałem - powiedział księżę - ale ja przecież nie namawiam cię do niczego złego. Chciałbym, żebyś wyszła za mnie za mąż i żebyśmy zamieszkali razem w zamku Camelot.

Przez moment Laurencji zdawało się, że źle go zrozumiała, że chyba śni. Kiedy na niego spojrzała, jej oczy rozbłyły światłem. A on przytulił ją do siebie i pocałował. Po tym, jak bardzo lękała się, że już go więcej nie ujrzy, było to przeżycie cudowne. Po chwili, która wydawała się całym wiekiem, księżę uniósł głowę, a ona wyszeptała:

- Czy rzeczywiście powiedziałeś, że mogę być z tobą i kochać cię, czy też mi się to tylko śniło?

- Marzyłem o tobie od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy na obrazie, a teraz nie mogę wprost uwierzyć, że boginię, do której wzdychałem, trzymam w swych ramionach.

Znów ją pocałował, a potem rzekł z wyrzutem:

- Jak mogłaś mnie zostawić? Jak mogłaś porzucić mnie tak brutalnie? Przez ostatnie kilka dni zachowywałem się jak szalony, a kiedy mi doniesiono, że umarłaś, wydawało mi się, że cały świat się zawalił!

- Jakże mi przykro - wyszeptała. - Wybacz mi i powiedz, w jaki sposób mogę naprawić mój błąd?

- Jedyne, czego od ciebie oczekuję, to żebyś mnie kochała.

- Przecież cię Kocham! Kiedy byłam w domu sama, tylko ze wspomnieniami o tobie, przeżywałam piekielne męki.

- To się już nigdy nie powtórzy - rzekł książę. - Będę cię chronił, opiekował się tobą i nie dopuszczę nigdy, żebyś została sama.

Mówiąc to rozwiązał wstążki jej kapelusza i rzucił go na podłogę, potem dotknął jej jedwabistych włosów, rzucających rude ogniki.

- Chciałbym cię widzieć z rozpuszczonymi włosami - rzekł. - Powiedz mi, Kochanie, kiedy możemy się pobrać?

- Ale co powie na to twoja ciotka, markiza?

- Każdy, kto cię zobaczy, powie, że jestem najszcześniejszym człowiekiem na świecie - odrzekł. - A co mnie to zresztą obchodzi, co powiedzą inni? Nikt nie może mi przeszkodzić podziwiać mądrość i wielkość twojego ojca.

- Gdyby tak papa mógł to usłyszeć - rzekła.

- Kiedy mógłbym się z nim zobaczyć?

- Na razie nie wolno mu przyjmować nikogo poza mną, ale być może doktor zrobi dla ciebie wyjątek.

- Jako przyszłemu zięciowi należy mi się ten przywilej - rzekł. - Lecz nadal mi nie odpowiedziałaś, kiedy możemy się pobrać?

- Kiedy zechcesz.

- A więc natychmiast! Mam specjalne pozwolenie i ślub możemy wziąć już jutro?

- Czy jesteś pewien, że tak właśnie powinienesz postąpić?

- Oczywiście - odrzekł. - Należysz do mnie i do zamku.

- Nigdy nie sądziłam, że spotkam kogoś, kto tak dobrze mnie będzie rozumiał - zawołała. - Kocham cię i uczynię wszystko, żebyś nigdy nie musiał się wstydzic z mojego powodu!

- Jakie to szczęście, że się oboje odnaleźliśmy - rzekł poważnie.

- „Będę stanowiła z tobą jedność i będę wierzyć, w co ty wierzysz” - zadeklamowała.

- Jesteś moja! Twoja dusza do mnie należy! - rzekł. - A ślub sprawi, że i nasze ciała się połączą. Choć staniesz się moją żoną, będę cię zawsze czcił jak moją boginię.

- Nie powinienesz tak mówić.

Znów ją pocałował, a jej się zdało, że miłość, jaką nappełnił ich Bóg, stanowi jego wspaniały dar.